

BIBLJOTEKA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO TOM XXXVIII

JÓZEF WEYSSENHOFF

P I S M A

TOM PIĄTY

Syn Marnotrawny

JÓZEF WEYSSENHOFF

SYN MARNOTRAWNY

TOM II

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

Druk. J. Rajskiego. Warszawa, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

XII.

W niewielkim porcie Nicejskim, wczesnym rankiem panował ruch targowy. Smolne łodzie rybackie wróciły z połowu; przekupnie nabywali rybę. Naprzeciw przystani murowany bazar zasłoniony był stosami beczek, które wyładowywał z siebie statek świeżo przybyły z Algieru. Zapachy jarzyn i owoców na brzegu zlewały się z ostrą wonią stęchłej wody morskiej, zamkniętej w przystani między rozrzuconemi kadłubami większych i mniejszych łodzi.

Wśród zgiełku i swędu, na murowanem cembrowaniu przechadzał się człowiek, nie mający tu pozornie nic do czynienia i zwracał uwagę handlującej rzeszy. Chodził tak od paru godzin, niektórym zawadzał, innych drażnił przez to samo, że był dobrze ubrany i nic nie nosił na plecach. Wkrótce jednak robotnicy i przekupnie, którzy tu łączą poufałość Włochów z szyderczą werwą Francuzów, zdali sobie sprawę, że ten pan oczekuje przybycia okrętu. Gdy kto nowy przybywał na próg przystani, ci, którzy już wiedzieli, objaśniali:

— Frajer plącze się tu, bo czeka na wpłynięcie grubego komina.

— Agent od kwarantanny? Nie... jakaś obca facjata.

— A jacht d'Anjorrant'a nie wrócił?

— Widzisz przecie, gapiu, że go niema.

— Ma tutaj przybić. Ale im nie pilno. Kobiety mają z sobą, nie nudzą się po kajutach.

— A ten pewno czeka na swoją.

— Taką ci ma gębę. Już mu kapelusz ledwo na łbie siedzi, aż mu się podnosi.

— Niby od czego?

— Głupiś! Zapytaj swojej Małgorzaty.

Fabiusz, gdy go doszedł wybuch śmiechu razem z okruchami tej brudnej rozmowy, przyśpieszył kroku i brwi zmarszczył jeszcze silniej. Ci ludzie z gminu przedrzeźniali po swojemu coś podobnego do jego własnych myśli. Daleki był od posądzenia Anny, ale wyobraźnia nasuwała mu bolesne obrazy. Widział ją wśród orgji, stropioną, bez opieki. Nie trzeba jej było puszczać na tę wyprawę, która przedłuża się w sposób nieprzyzwoity. Ale nie miał prawa zakazywać. Jakie on wogóle ma do niej prawa?

Noc spędził w oberży portowej, gdyż przybył około północy do portu. Nie spał, a teraz długo już chodził pośród wstrętnego zgiełku i marnych ludzi.

Nareszcie przybiegła do niego ładna dziewczyna rybacka, której obiecał franka za wiadomość o ukazaniu się jachtu na horyzoncie.

— *Mossiou! votre bateau il arrive!*

Nagiem ramieniem z pod jaskrawej chusty wskazywała pióropusz pary poza groblą zamykającą port.

— *Dans venti minute.*

I spojrzała na Fabiusza czarnemi oczyma i wyraziste usta ułożyła tak miłośnie, że poczuł niby prąd kobiecego współczucia dla swej niedoli. Ale dziewczyna wyciągnęła znowu ramię do niego, a palcami przywoływała wymownie obiecaną nagrodę:

— *Mossiou!*

Oddając jej franka, Fabiusz uśmiechnął się i rzekł:

— Dusza twoja jest mała, ale oczy piękne.

— *Merci, mossiou!*

Jacht, zbudowany do lotu, zbliżał się szybko. Wkrótce zawitały do portu herbowe anioły d'Anjorrant'ów i zawisły dumnie ponad ubogiemi łodziami.

Fabiusz namyślał się przez chwilę, czy stać i oczekiwać, czy oddalić się i przyjść na samo wylądowanie. Ale został.

— Śmieszny będę dla nich, to mi obojętne. Ci ludzie najwyżsi powiedzą o mnie to samo, co dopiero słyszałem z ust pospólstwa portowego. Powiedzą inaczej i będzie im się zdawało, że cywilizacja zawiera się w formie słowa i szaty, a ja wiem, że uspołecznienie ludzi jest w pięk nie i m - łości. Niech będę śmieszny dla nich, bo nie wiedzą, co zacz są. Ale ona ucieszy się do mnie.

Girlandy i proporce na statku wyglądały zdaleka jeszcze wspaniale, tylko ostre światło poranka nie wypadało korzystnie dla jachtu, pośród brudnych łodzi, ani dla zmęczonych twarzy biesiadników pośród przywiędłych kwiatów. Na pokładzie zaległo milczenie, tylko Cyganie rzępolili bez fantazji, jak przez sen. Gdy dojeżdżano, d'Anjorrant kazał kapeli urwać.

Fabiuszowi mignął w pamięci dobry tytuł marnego poematu·

— „Pijana łódź".

Jacht dobił do bulwaru i zaczęto lądować przez rzucony do lądu pomost.

Mężczyźni pokryli fraki płaszczami, a panie zakutane były w różne narzutki. Tylko hrabina Puckelswart ukazywała płowe swe włosy w dziwnym nieładzie i twarz zaczerwienioną, postarzałą. Pierwsi stanęli na lądzie obaj Filipowie, ojciec i syn, i arcyksiężna Fryderyka. Całe towarzystwo śpieszyło się w milczeniu, czasem tylko wybuchł śmiech nerwowy, odezwał się głos ochrypły. Ten szereg czarnych mężczyzn o twarzach bladych i oczach zapuchłych, z kobietami zakapturzonemi, wyglądał jak ucieczka jakaś wstydliwa. Tylko d'Anjorrant, świeżo ogolony, w nieposzlakowanym mundurze stał na pokładzie, żegnając gości wojskowym ukłonem. Jako kapitan, ostatni miał zejść z posterunku, i sam jeden wyglądał zwycięsko i spokojnie.

Dubieński wyskoczył na brzeg i podał rękę pani Oleskiej, która teraz dopiero z pod nasunię-

tego kapturka spostrzegła oczekującego Fabiusza. Jerzy doprowadził panią Annę do opiekuna i oddał ją z rąk do rąk z wyszukaną troskliwością, niby skarb uratowany

— Jak dobrze, że Fabiusz przyszedł! Kochany Fabiusz!

Po cichem uściśnieniu dłoni Olescy odeszli w milczeniu do powozu, najętego przez Fabiusza.

Dopiero po południu zjawił się Fabiusz w mieszkaniu pani Anny. W białej porannej sukni, niby w greckim chitonie, zastosowanym do wymagań dzisiejszych, była tak ładna, że widok jej utrudniał poważną rozmowę. Pewne omdlenie w giętkiej kibici i cień około oczu świadczyły o przebytych nerwowych wzruszeniach. Ale zarazem biło od niej pachnące żywe ciepło, jak od kwiatu, rozgrzanego w słońcu.

Fabiusz zabronił sobie uprzednio okazać się nudziarzem albo spowiednikiem. Przybrał się więc w uśmiech swój dobry, który był wdziękiem jego poważnej twarzy; zaglądał głęboko w dusze, ale dusz czystych nie przejmował trwogą. Począł opowiadać swobodnie:

— Jadłem wczoraj obiad w Monte Carlo u Ciro. I ja zaczynam się puszczać. Po obiedzie rozmawiałem z dziwną figurą; nazywa się „wielkim poetą“, Blandignère. Stary człowiek z rozwianemi na skroniach siwemi włosami, w wytartym fraku, osypanym orderami z kartonu. Za byle jaką sztukę monety układa ody, miłosne wyznania, pieprzne epigramaty; błaznuje, tańczy, co kto chce. Ma kar-

ty wizytowe z bajecznemi tytułami, z których podobał mi się jeden: „Émule de Mr. Émile Zola à l'Académie Française“. Zaprosiłem go do swego stołu, bo mu patrzało z oczu trochę obłąkaniem, a bardziej nieszczęściem. I ten błazen powiedział mi rzecz godną uwagi: „Jestem cieniem poety, który się w jednej rzeczy pomylił: sądził, że zabawa jest szczęściem, podczas gdy zabawa jest przekleństwem“.

— To ciekawe — rzekła pani Anna.

— Jest to oczywiście paradoks, ale dobrze oświetla ten łachman ludzki, który miał niegdyś jedwabne w sobie nitki. A także ilustruje szkicowo gwałtowny rozkład pod tutejszem słońcem pierwiastków dobra i piękna w osobnikach słabszych. Gdybym chciał stworzyć galerję tych wszystkich ludzi wykolejonych, chorych, podejrzanych, sfałszowanych, jako winietę końcową nakreśliłbym tę marną głowę biedaka, wielkiego poety Blandignère. Dobry okaz nędzy, dobry wiór odrzucony przez maszynę, wyciskającą tutaj rozkosz ze złota.

— Jaka szkoda, że nie jadłam wczoraj obiadu z Fabiuszem, zamiast na tym jachcie!

— Doprawdy?

— Doprawdy. Było mi tam bardzo źle.

Opowiedziała swe wrażenia, jedyne w życiu. Mówiła bezładnie, śmiesznie i poważnie, ale szczerze, z zupełnem zaufaniem do przyjaciela.

— ...I doprawdy, gdy ci pijani zaczęli tańczyć, a noc była późna, nie wiedziałam, gdzie się scho-

wać, do kogo uciec. Wyratował mnie, zgadnij kto? Nasz Dubieński.

— Nasz?!

— Myślałam, że go lubisz?

— Tak... nie znam go dostatecznie.

— To przecie inny człowiek. Prawił mi naturalnie różne pochlebstwa przez grzeczność, ale zachował się zupełnie przyzwoicie i względem mnie i względem siebie samego. Ani się nie upił, ani tańczył. Wyglądał nawet zgorszony i podał mi myśl stowarzyszenia się z lady Cosway, sztywną Amerykanką, ale przynajmniej... Cóż to? Fabiusz niezadowolony?

— Owszem. Pan Dubieński ma dużo taktu; sam to zauważyłem.

— Cóż lepszego mogłam zrobić w tak rozhukanem towarzystwie, niż trzymać się z ludźmi najspokojniejszymi?

— Kochana pani Anno! Niech cię Bóg strzeże od przyjaciół, mających tylko względną, nie zaś istotną wartość. Nie mówię tego o wymienionych osobach, bo je mało znam. Opowiedz raczej jeszcze coś o wyprawie. Zaczynam żałować, żem tam nie był.

— Cóż mam dalej powiedzieć?... Towarzystwo dziwnie pomieszane. Książęta krwi i pan Ciampi... Także księżna Kobryńska nie podobała mi się. Zachowuje się dwuznacznie ze mną: zna mnie oddawna, a powiedziała wczoraj księciu Filipowi starszemu, że nie pamięta, jak się nazywam.

— Możemy ją podarować księciu Filipowi.

— Nie przyjmie! — zaśmiała się pani Oleska, pokazując ząbki wesołe, niepozbawione jednak kobiecego okrucieństwa.

— Któż więcej ci się *nie* podobał? Wyznaję, że wolę ten gatunek.

— Z kobiet jedna, która podobać się musi, bo jest bardzo piękna, ale jakoś mi strasznie zagadkowo wygląda, to pani de Sertonville.

— Pani de Sertonville była na jachcie?!

— Była. Cóż z tego?!

— Przed tą muszę cię ostrzec stanowczo. Jest to kobieta najgorszych obyczajów.

Fabiusz tego powiedzieć nie mógł bez gruntownego przekonania. Pani Anna spoważniała:

— Widzisz, jak tu trzeba być ostrożną!

— Jak tu trzeba być ostrożną — powtórzył Fabiusz.

— To jest, że źle uczyniłam, przyjmując zaproszenie d'Anjorrant'a.

— Najdroższa! Nie możesz uczynić źle, tylko zło może za blisko znaleźć się ciebie.

Pani Anna wzruszona podała Fabiuszowi rękę.

W tej chwili weszła służąca:

— Pan hrabia Dubieński zapytuje, czy go pani zechce przyjąć.

— Co? jak myślisz? — zwróciła się pani Oleska do przyjaciela, nie ukrywając nagłego wzruszenia.

Fabiusz spuścił oczy i rękoma dał znak, że nic nie radzi. Pani Anna zawahała się przez chwilę, poczem rzekła do służącej:

— Powiedz, że bardzo przepraszam, że mam lekcję z dzieckiem.

Nie było to zupełnem kłamstwem, bo pani Anna dawała codzień lekcje swej małej Zosi.

Fabiusz nie podziękował, tylko po krótkiem milczeniu odrzucił wtył głowę, a rysy jego przybrały wyraz szlachetnej odwagi. Czuć było, że mówi to, co powinien:

— Myślę często, bardzo często, bo ciągle, czy nie nadużywam twej dobroci, zabierając twe towarzystwo dla siebie, to towarzystwo, któreby dla innych było może równie cennem dobrodziejstwem. Czy postępuję samolubnie? nie wiem, bo jeżeli ci mogę przynieść jaką korzyść moją radą, to znowu korzyść twoja jest mi najwyższą uciechą. Ja wiem, że widzę życie jaśniej i przezieram lepiej maski ludzi, niż ty twojemi młodemi oczyma, zapatrzonemi jeszcze w dziecinne, najpiękniejsze wizje. Prowadzić cię mogę za rękę i odpowiadać mą siłą za twe bezpieczeństwo, ale czy ręczyć mogę za twoje szczęście, lub choćby zadowolenie? Z samym sobą jestem w zgodzie, ale jaka jest zgoda między nami?

— Mój drogi, skąd dzisiaj to wątpienie? Wiesz, że mi jesteś najmilszym przyjacielem, najpotrzebniejszym. Od ciebie tylu rzeczy nauczyłam się; ciebie przywykłam zapytywać o wszystko, a nawet gdy cię niema przy mnie, pytam się cicho: coby Fabiusz powiedział? Naprawdę, radzę się ciebie jak sumienia.

— Wierzę ci, Anno, i to mi wystarcza. Ale ja cię prowadzę do cichego obowiązku, nie znam

innej drogi, a życie ma różne ponęty, których ci może brak, które poświęcasz mojej starej, niewolniczej przyjaźni?

Pani Anna zarumieniła się.

— Fabiusz dzisiaj mówi dziwnie... Najprzód nie jest stary.

— Ha, wolałbym nie być!

— Czterdzieści sześć a dwadzieścia sześć, to mała różnica. Już i ja postarzałam.

— Gdy się kobiety, za dobrych czasów, rodziły dorosłe z piany morskiej, miały zapewne twój wiek.

— Ho, ho, ho! Takby to powiedział ktoś na jachcie... Nie, od mojego Fabiusza to więcej warte.

Fabiusz powstał, widocznie z żalem, ale i z energją.

— Rzeczywiście, mijam się z właściwym stylem. A teraz może naprawdę Zosia czeka na lekcję?

— Tak. Spałam po powrocie z Villefranche; dopiero co ubrałam się.

Uchyliła drzwi do sąsiedniego pokoju:

— Zosiu! do stryjaszka!

Mała panna Oleska nie wbiegła, ale weszła do salonu elastycznym krokiem, już nacechowanym elegancją i podobieństwem do mamy. Rączki i ciemne oczęta dążyły prosto do ulubionego stryja. Ze słodką dziecięcą powagą pocałowała go w policzek, dała się głaskać po jedwabnych jasnych włosach.

— Czy była Zosia na przechadzce?

— Byłam. Pani Jabłońska kupiła mi nowego Gastona, ale jest tani i brzydszy.

— Gaston? poczekaj... to ten, co w morzu utonął?

— O! tamten od stryjka był ładny, jak żywy.

— Poszukam takiego samego. Jutro ci przyniosę.

— Niech stryjek kupi także starszego, z brodą.

— Nie wiem, czy takiego znajdę.

— Jest, jest, na „venue de la Gare", podobny do stryjka.

— Tak, jak Gaston do małego de Nielles?

— Tak samo.

— Zosiu! — przerwała pani Anna — nie trzeba przymawiać się o podarunki.

Zosia zaczerwieniła się mocno. Fabiusz objął oburącz jasną główkę, pocałował ją we włosy, a panią Annę w rękę.

— Wychodzę. Miło mi ustąpić miejsca w twym salonie tej kochanej istotce, nie komu innemu.

XIII.

— Mój kochany Jerzy! Musimy raz pomówić zupełnie otwarcie i postanowić coś wspólnie. Od mojego przyjazdu upływa miesiąc, a czy ten miesiąc dobrze podziałał na twoje dyspozycje?...

Jerzy chodził po pokoju, a księżna Teresa siedziała przy stole, oparta jednym łokciem, w pozie pani de Sévigné.

— Kochana Tereniu! Te wszystkie chojnogórskie wyrażenia, jak „dobre dyspozycje", „brak za-

sad“ — utraciły dla mnie znaczenie. Doprawdy zapomniałem, co to wszystko znaczy w szerokiem życiu, które przepływa tędy i zdrowsze jest dla mojej piersi.

— Jurku! nie miej mnie za stronniczkę przesadnie może surowych zasad naszej rodziny. Giętkość nie jest przymiotem ludzi ze spiżu. Daruj więc im, a mnie miej za swą najbliższą, bom zdolna zrozumieć nawet twoje zapędy, nawet... namiętności. Z naszego gniazda my dwoje najbardziej podobni jesteśmy do siebie.

— Gdyby i tak było, czego ode mnie chcesz? spowiedzi jakiejś?

— Wyobraź sobie, żem nie siostrą, ale towarzyszką... twej myśli; towarzyszką najzaufańszą, albo chłopcem.

Jerzy zagryzł nieznacznie usta. Wyobraźnia nie dostarczała mu żądanych złudzeń.

— Moja kochana! Przedewszystkiem dążę swoją własną drogą do osobistych pragnień i celów. Rodzina przywiązywała mi zawsze kule do nogi, albo zagradzała mi drogę płotami, plecionemi ze starych przesądów. Nie dziw się, żem się odsunął od Chojnogóry i jej kopalni cnoty.

— W Chojnogórze są też kopalnie srebra — wtrąciła dowcipna Terenia.

— Wiem, niestety, że materjalnie, do czasu, od nich zależę.

Wymówka siostry rozdrażniła Jerzego. Teraz on chciał mieć nad nią przewagę:

— Muszę ci się przyznać, że Władzio winien mi 4.000 franków z mojej pensji. Obiecuje mi je codzień...

— Ach! — zawołała księżna, zakrywając oczy— i to jeszcze!

Zaległo krótkie milczenie, wciągu którego oboje zapomnieli o sprzeczce; owładnęła nimi bowiem praktyczna ciekawość.

— Więc Władzio jest w złych interesach? — zapytał Jerzy.

— I w jak złych jeszcze! Przyznał mi się do dwudziestu tysięcy długów. Czy to wszystko?...

— Gra za grubo i ciągle, to niebezpieczne.

— Podobno partja w tym przeklętym klubie już się kończy? Mówią, że zwykle urywa się przed Wielką-nocą.

— Nie będzie tej, będzie inna. Zresztą jest zawsze Monte Carlo, a to dom najgorszy, bo utrzymywany z regularnego podatku grających.

Terenia była istotnie zakłopotana i porzuciła nawet swą ulubioną dyplomację.

— To też w tych dniach musimy koniecznie wyjechać do Rzymu. Mieliśmy zawsze ten zamiar; szkoda, że zapóźno go wykonamy. Dla ciebie nawet ojciec przepisał tę pielgrzymkę.

— Doprawdy! Toby mi nie było zachętą. Ale najprzód trzeba pieniędzy. Ja nie mam ani grosza, nawet na tych 4.000 już są poważne hipoteki.

— Posłuchaj mnie, Jurku, i przyrzeknij mi sekret absolutny przed Władziem... Dziesięć dni temu, gdy spostrzegłam, jak tu idzie, napisałam do

Chojnogóry, prosząc o dodatkową pomoc dla nas wszystkich.

— I dla mnie?

— Dla wszystkich. My tu przyjechaliśmy dla ciebie, więc ojciec pewnie pieniądze, które nam dał, zapisał na conto dobrych uczynków...

— Jak zapisał, mało mnie to obchodzi. Ale nie chcę, żeby sobie wyobrażał, że i ja korzystam z jego dobrodziejstw. Pensję chyba mi winien, jako synowi.

— Jerzy! nie chodź tak po pokoju i nie zacinaj się. Usiądź i naradzimy się po bratersku. 4.000 franków oddam ci zaraz.

Jerzy usiadł.

— Otrzymałam wczoraj od papy pieniądze na Rzym, wprawdzie połowę tego, o co prosiłam, ale ja jeszcze mam coś ze swoich oszczędności, więc na podróż nam wszystkim nie zbraknie. Proszę cię o dwie rzeczy: nie mów Władziowi, żem otrzymała zasiłek z Chojnogóry, i pomóż mi wyciągnąć go stąd do Rzymu jak najprędzej.

— To będzie trudno. Zaplątał się...

— W co się zaplątał?

— W partję klubową, w ruletę, w lichwiarzy.

— Bądźmy szczerzy: i w kobiety?

— O tem nic nie wiem.

— Rozumiem twą delikatność, Jurku. Ale siostrze, takiej prawdziwej siostrze, możesz wszystko wyznać.

— I żonie Władzia?

— Ach, ja jestem żoną jego duszy. Jest mi drogi, ale nie znalazłam w nim równego sobie towarzysza. Słaby jest i muszę być jego opiekunką. Wiem zresztą, co mi ukrywasz; mógłbyś mnie tylko objaśnić: co to jest za osoba ta pani de Sertonville?

Jerzy oparł głowę o rękę i wzrok ponury skierował ku posadzce. Był dawno przygotowany na to zapytanie i wcale się go nie bał; obawiał się zaś indagacji co do innej kobiety. Obmyślił odrazu plan działania wobec siostry.

— Pani de Sertonville jest osobą rzadką, tajemniczą. Twoja wątpliwość jest i moją wątpliwością, a nawet, przyznam ci się, cierpieniem i nocną zmorą. Odrazu, gdym tu przyjechał, zajęła mnie ta postać bolesna i wspaniała.

— Kochasz ją jeszcze?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — odparł Jerzy, wyniośle podnosząc głowę.

— O, nie wyzywam konfidencji, rozumiem cię, mój szlachetny Jerzy!

— Nie rozumiesz. Mnie kobiety zajmują z wielu względów, których może nie oceniasz. Mam najprzód pretensję, że umiem grać na tych arfach, któremi są dusze kobiece, i dobywać z nich tony piękniejsze, czystsze od nich samych. Budzę w nich zapomniane drzemiące szlachetności.

— Jak pięknie mówisz! Ile z nas nie doczeka się nigdy w życiu takiego mistrza-poety!... Ale powiedz: czy pani de Sertonville nie jest trochę lekkomyślna? czy nie naraża na wydatki?

Jerzy odkładając na bok lirę, westchnął głęboko. Potem wpadł w zadumę, potem w rozdrażnienie.

— Ach, nie wiem!... Na jakie wydatki? Ma wadę, że lubi grać i zawsze przegrywa. Może Władzio grał z nią do spółki?

Terenia mrugnęła kilka razy i wyprostowała się, względnie zadowolona z tego przynajmniej odkrycia.

— Widzisz, Jurku, temu trzebaby przeszkodzić.

— Mogę ją o to poprosić. Jesteśmy dość zażyli z sobą. Powiem poprostu, że mój szwagier nie ma pieniędzy, i nie trzeba go wciągać do gry.

— Delikatnie tylko. Powiedz, żeśmy bogaci, ale ojciec...

— Wszystko jedno. Fernanda może grać sama, albo z kim zechce; każdy chętnie się zgodzi.

— Będzie to dobry uczynek z twej strony. A inaczej... tak w życiu, w zabawach... czy pani de Sertonville nie pociąga za sobą wydatków?

— Ja nigdy o tem nie słyszałem. Może Władzio?... nie wiem...

— Ty jesteś bardzo piękny, Jerzy.

— Moja Tereniu! Znowu się nie rozumiemy. Władzio nigdy nie widział nawet rozpuszczonych włosów Fernandy.

Księżna spojrzała badawczo na brata i popadła w rozmaite wątpliwości.

— Jednakże...

— Tak, tak. Władzio sobie wyobraża, że wywarł na nią silne wrażenie. Trzyma się jej, gada

z nią; ona go nazywa *mon dogue,* on ją czasem po imieniu, ale to wszystko są zaloty bez przyszłości. Zresztą, może Władzio nadto szanuje swoje gniazdo, aby się posunąć...

Temu już księżna Teresa stanowczo nie uwierzyła i, stwierdziwszy zaślepienie Jerzego, przeszła do innej rozmowy.

— Myślałam, żeś się trochę odsunął ostatniemi czasy od pięknej Hiszpanki.

— Powinienbym. Ale niestety!...

— Widziałam cię często przy pani Oleskiej.

Jerzy zaśmiał się głośno, uśmiał się prawie do łez. Aż siostra, naprawdę zdziwiona, zapytała:

— Czego się śmiejesz?... Pani Oleska uchodzi przecie za piękność.

— Bardzo piękna, istotnie... Ha, ha, ha!

— No więc co?

— Żenić się tak odrazu z kobietą, dlatego, że piękna?

— Żenić się, żenić!... — odpowiedziała księżna nadąsana: — wasza męska logika bywa inna.

— W takim razie nie znasz zupełnie ludzi, Tereniu. Ci oboje Olescy to istne kwakry.

— Nie przeczę. Nie mam powodu źle sądzić o pani Oleskiej. Może nawet trochę przesadza swą pozę na kapłankę Westy.

— Może?

— Albo może u kwakrów małżeństwa są tajemne i po śmierci męża krewni jego otrzymują w spadku wdowę.

— Także możliwe. Tutaj jednak nie sądzę.

— Doprawdy, świat jest dziwny. Mówią tu niestworzone rzeczy o każdej młodej kobiecie, a tę jakąś panią, która się włóczy po świecie z kuzynem, zgodzono się ogłaszać za świętą. Nawet wymyślili dla niej osobne jakieś stanowisko. D'Anjorrant mówi, że to najdoskonalszy typ damy polskiej, jaki on napotkał, i wierzy, co mu ktoś tam opowiedział, że Olescy pochodzą ze znakomitej szlachty. To przecie prawie ubliża innym! A wszystko dlatego, że pani ma ładne oczy i pozuje na dziewczę, mając lat trzydzieści.

Jerzy patrzał na siostrę coraz chmurniej i miał już gotową odpowiedź:

— Pozujesz, kochanko, sama na to, tylko znacznie gorzej; a tamta ma lat dwadzieścia pięć i nie pozuje wcale.

Ale Jerzy szanował siostrę, a w każdym razie nie chciał się przed nią odsłaniać. Ziewnął tylko i rzekł:

— Co nas to wszystko obchodzi, moja Tereniu! Pani Oleska, choć dawniejsza znajoma, jest od nas bardzo daleka, a inna kobieta cudzoziemka, dużo bliższa. O tej trzeba naprawdę pomyśleć... od tej nawet może uciec wypadnie.

— Widzisz zatem, Jurku, że ze wszystkich względów musimy jechać do Rzymu, na ochłonięcie, na zapomnienie, a nawet, *disons le mot,* na pokutę. Od pojutrza zaczyna się Wielki Tydzień; ramiona świętego Piotra wyciągają się ku nam...

Oparła głowę na ręce, nagle rozmarzona.

— Ja sama czuję tutaj dziwne odurzenie. Wy, mężczyźni, tak tu jesteście rozpasani, tak natarczywi, że i nam przychodzą grzeszne myśli... Najsilniejsze indywidua kobiece ulegają...

— Gdyby to było prawdą! — zawołał niespodzianie Jerzy, który myślał o czem innem.

Mimo swą przebiegłość, Terenia nie zrozumiała i zastosowała wykrzyknik Jerzego do Fernandy.

— Biedny chłopcze!

Jerzy już nie tłumaczył się, przypomniał siostrze obietnicę wypłacenia za Władzia 4.000 franków, a gdy otrzymał pieniądze, westchnął i pożegnał się.

— Biedny chłopiec! — powtarzała księżna po wyjściu brata: — wyobraża sobie, że go ta Sertonville kocha, a ja wiem, co się dzieje między nią a Władziem. Nie odbierajmy mu złudzeń! Mam teraz dwóch ludzi do ratowania: brata i męża. Siebie jestem pewna.

Przypomniała sobie różne pokusy, wprawdzie dość dalekie, gdyż mężczyźni nie przysuwali się do niej zbyt blisko. Prawdziwa cnota onieśmiela. Słuszka powiedział jej coś kiedyś... ale był mocno podchmielony. Schwind coraz rzadziej przychodził na jej popołudniowe herbaty, ha! pani Puckelswart jest zapewne wyrozumialsza. Miała też i inne sposobności oczarowania mężczyzn, ale nie chciała wyjść poza granice, przez jej wytworną naturę dozwolone. Gdyby zaś chciała tak się zachowywać, jak pani de Sertonville, jak pani de Nielles... mogłaby nawet łatwo tak, jak one, wyglądać. Jeden

Antoś Granowski, nieśmiały wogóle, a przez nią ośmielony, zdawał się wierzyć, że piękność i wdzięk księżny Kobryńskiej były czemś osobliwem. Lenbach i on! To zestawienie wypadło na korzyść estetycznego zmysłu młodzieńca. Tylko Lenbach widział księżnę przez godzinę, a młody Granowski widywał ją często, przychodził na herbaty, siadywał w fotelu, milczał, czerwienił się, znowu milczał, słowem: zachowywał się jak zakochany.

— Taki młody, rasowy chłopczyk! Mam dla niego uczucie, którego nie chcę nazwać macierzyństwem, bo nie lubię nic udawać, nawet sama przed sobą. Ale chciałabym go wykształcić, rozbudzić do życia nerwowego i czynnego. Chciałabym być pierwszą kobiecą ręką...

Jednak nie pozwoliła sobie na żadną wyraźniejszą zalotność. Rozmowa na jachcie była skrajnem jej zapomnieniem. Tylko o tym chłopcu, proszącym oczyma o jakąś nagrodę za swą stałość, myślała często z przyjemnością.

— Taki drobiazg... i to jest grzechem.

Nagle doszedłszy widać do świadomości, że w noc jakąś majową mogłaby przypuścić do siebie możliwość zapomnienia się, zerwała się z krzesła, wołając:

— Do Rzymu, do Rzymu, do Rzymu!

XIV.

Zdarzają się w powietrzu nieobjaśnione prądy, porywające ludzi, bez uprzedniego między nimi po-

rozumienia, do jednego celu; taki wiatr wiał około Wielkiejnocy w Nizzy i pędził mnóstwo ludzi do Rzymu.

Państwo Anjorrant i lady Cosway powzięli nagle ten zamiar, za nimi podążyć mieli państwo de Nielles, Schwind. Kobryńskim przypisano tę pielgrzymkę dla zbawienia rodziny. Słuszka poczuł się naraz powołanym do wiecznego grodu.

Dubieńskiemu zaś chodziło głównie o stwierdzenie, czy pani Anna pojedzie do Rzymu. Fabiusz namawiał ją już dawno do Włoch, obiecując cichsze, ale szlachetniejsze rozrywki, niż na Rivierze Gdy teraz Jerzy przekonał się o stanowczym zamiarze siostry, chciał dowiedzieć się coś pewnego o projektach Oleskich i od tego uczynić zależną swą zgodę lub niezgodę na wyprawę włoską. Nie trudno mu przyszło pomówić o tem z Oleskimi, gdyż widywał ich prawie codzień. Spoważniał nadzwyczajnie, pisywał naprawdę dobre wiersze i popadłszy w wątpliwości o dotychczasowym sposobie życia, namyślał się nad swem udoskonaleniem, a za mistrza wziął Fabiusza. Że był wykształcony i pojętny, nie nudził mistrza.

Zwykł był teraz szukać towarzystwa Oleskiego, zapytywać go o radę i wyciągać na długie rozprawy o istocie cywilizacji. U pani Anny zjawiał się zwykle w towarzystwie jej opiekuna i zachowywał się wobec niej tak skromnie i wstrzemięźliwie, że mógł uśpić wszelkie podejrzenia. Jeżeli czytał jej jaki swój wiersz, lub przepisany oddał, to zawsze „stryj“ był lub mógł być przypuszczony

do tej niewinnej konfidencji. Upierał się nazywać Fabiusza stryjem, mimo tłumaczeń, że jest kuzynem pani Anny. W rzadkich rozmowach sam na sam, Jerzy porzucił pospolity sposób okadzania pochwałami piękności pani Anny, dawał tylko poznać po sobie, że widok jej działa na niego jak słońce: rozpromienia go, gdy wschodzi, zasępia, gdy odchodzi. A gdy czasem rozmowa zawadzała o rzeczy poufne, o jej lub jego aspiracje, usposobienia, przeszłość, Jerzy czuł się mniej pewnym siebie niż zazwyczaj: choć umiał rozmawiać z kobietami, nie napotkał w swej praktyce tej dziwnej trudności: pani Anna była zupełnie uczciwa w słowach i działaniach, i wymagała od niego równej uczciwości.

Zdarzyło się mu naprzykład mówić o swej rodzinie w ten sposób:

— Niech pani przypuści na chwilę, że wierzy w moją przyszłość jako poety, i wyobrazi sobie te pokarmy duchowe, któremi mnie pasiono w rodzinie: „obowiązki, zasady, stanowisko Dubieńskich...“ Jak mógł rozwinąć się wolny talent w takiej atmosferze?!

— Dlaczego zasady i obowiązki przeszkadzają rozwojowi talentu? Nie rozumiem.

— Bo jest to tylko przebrane filisterstwo. Trzeba wrażeń, spostrzeżeń osobistych, życia własną piersią i własnem powietrzem... To tak, jakby się pani zachciało śpiewać i tańczyć w jakimś wielkim gmachu, a tu w każdym kącie albo stare święte malowidło, albo stróż porządku publicznego, najeżony i głuchy... Żeby to jeszcze było szczere!

Ale oni sami czują potrzebę życia i używania, a świętych i głuchych udają dla innych.

Jerzy zapędził się w zwierzeniach, ale miał nadzieję, że mu pani Anna powie na to przynajmniej:

— Biedny chłopiec!

Albo wyrazi innemi słowy swe współczucie, przyczem temperatura rozmowy rozgrzeje się aż do rozrzewnienia, a w rozrzewnionej temperaturze można polować na różne korzyści. Tymczasem pani Oleska odpowiedziała poważnie, patrząc mu prosto w oczy:

— W takim razie to nie zasady, ale hipokryzja. Nie wiem, czy pan chciał uczynić ten zarzut swojej rodzinie?

Jerzy nie miał tak stanowczego zamiaru, i rozmowa urwała się z obustronnem zakłopotaniem.

Jeszcze gorzej było raz, gdy Dubieński zapragnął przeniknąć uczucia pani Anny dla jej nieboszczyka męża i dla Fabiusza.

— Znałem bardzo mało męża pani. Był trochę podobny do pana Fabiusza, tylko młodszy.

— Owszem, zupełnie różny. Może coś podobnego w rysach twarzy, ale nie w charakterach. Fabiusz wszystko rozumie i wszystko tłumaczy, a tamtego biedaka świat oburzał do tego stopnia, że ciągły stan podniecenia przyprawił go o żółciową chorobę, na którą skończył.

— Tak. Pan Fabiusz jest prawdziwym filozofem. Zazdroszczę mu jego spokoju i pewnej... nie-

czułości, tak potrzebnej, gdy kto chce wznieść się do zupełnego objektywizmu.

— Myśli pan, że Fabiusz jest nieczuły?! Bardzo się pan myli.

— Chciałem powiedzieć: zimny, chłodno rozważający...

— Owszem, ma najgorętsze serce, jakie napotkałam. Żyje tylko miłością bliźnich, zacząwszy od swego kraju. To wielki pracownik dla cudzego dobra. Pan go widzi tutaj w chwili odpoczynku, i nie zna go pan wcale.

— Przewiduję, jakim być może; bardzo go poważam.

Jerzy, widząc oczy pani Anny zaiskrzone gniewem na samo przypuszczenie, że ktoś jej przyjaciela przedstawia w mniej korzystnem świetle, pomyślał o wartości prawdziwej przyjaźni kobiecej, przewidującej nawet najskrytsze zaczepne zamiary. Z rozmowy jej wyniósł dla siebie naukę i postanowił nigdy już nie malować słowami moralnej postaci Fabiusza Oleskiego wobec pani Anny. Ale tem bardziej wpływ niedość starego opiekuna na młodą kobietę wydał mu się podejrzanym i drażniącym. Od tej pory zaczął w rozmowach z panią Anną traktować stosunek jej z Fabiuszem jako godną uszanowania tajemnicę, którą przeniknął; jako nieszczęśliwą konieczność, której on, człowiek pełen zasług, lecz skromny, poddaje się z bolesną słodyczą. Uczucie jego niecierpliwe, powściągnięte, nie pozwalało sobie na wyznania, czasem tylko na westchnienie, albo na niemy wyrzut oczu i bladość

twarzy. Przez kilka dni nawet głodził się i połykał cytryny, aby schudnąć, mniemając, że stan jego zdrowia zwróci pożądaną uwagę. Podstęp zaś nie był przeciwny jego bogatej naturze, skoro cel wydawał mu się ze wszech miar upragnionym i sprawiedliwie do niego należącym.

Jednak ten system podboju serca pani Oleskiej był długi. Jerzy uchwycił się obecnie zamiaru wycieczki do Rzymu i tuszył sobie jak najlepiej o zmianie stosunków z panią Anną w tej podróży. On, artysta, po klasycznym gruncie sztuki będzie równie umiejętnym, jak miłym przewodnikiem, postara się być wzniosłym i zajmującym; spróbuje skorzystać ze wspólnej wędrówki po ruinach, z silnych i szlachetnych wrażeń, wreszcie i z ciągnącej wiosny, aby doprowadzić do pożądanego rozrzewnienia. Grot Amora może łatwiej trafi do serca pani Anny w jakichś termach Karakalli, gdzie róże kwitną w rozwalonych salach kąpielowych; albo w labiryntach pałaców, gdzie zgubić się tak łatwo wśród powodzi malarstwa i rzeźby; nawet w półmrocznych nawach ogromnych świątyń, gdy oczy zwiedzających biegają po wyniosłych linjach, a baczna ręka kochanka czeka w pogotowiu dla podparcia jej ramienia lub na podziękę jej dłoni...

Tutaj, w Nizzy, to, co zwą miłością, zbyt obficie spotyka się na rynku. Amor, dla olbrzymiego zapotrzebowania grotów, zdrobnił ich wymiary, rozdają je wszędzie, nawet w formie wykałaczek po restauracjach. Nie dziw, że tak spospolitowane pojęcie może przejmować panią Annę pogardą i wstrętem.

Choć jednak Dubieński dużo sobie obiecywał po wyprawie do Włoch, nie mógł zapomnieć, że tam, jak i tutaj, będzie miał do zwalczenia współzawodnictwo Fabiusza, pod jednym względem stanowczo zabójcze: gdy będzie chodziło o wnioski ogólne, o umiejętne oświetlenie nowych krajów, ludzi i ich dzieł.

— A przytem ten mantyka gotów się znać na sztuce włoskiej dużo lepiej niż ja?... Cóż u licha z tym Fabiuszem!

Zato Jerzy liczył na zmianę wrażeń, na swój powab męski, na swą gwiazdę. Miał także głęboko wpojone przekonanie, że ta kobieta, ponieważ mu się wyjątkowo podoba, powinna do niego należeć. Wszelkie kroki w tym kierunku poczytywał nietylko za stosowne, ale za zgodne ze swem powołaniem, za dobre i zbawienne dla nich obojga. Gdy tymczasem głębiej zapuścił się w rozważanie swych zamiarów, napotykał myśl dość prostą, a jednak najdalszą w jego zapędach:

— Ostatecznie mógłbym się z nią ożenić?...

Ale tu genjusz Dubieńskich, mający twarz pana Macieja, rękę jedną w kieszeni, a drugą wzniesioną ku szczytnym zasadom rodzinnym, stawał przed Jerzym widomie i groził. Syn marnotrawny wzdrygał się.

— Nad tem trzeba jeszcze długo się namyślić. To na później.

Gdy Jerzy dowiedział się, że Olescy wyjeżdżają stanowczo w Wielkim Tygodniu do Rzymu, popadł w dramatyczne zawikłania. Razem z nimi

pojechać nie mógł, bo nie miał dobrego pozoru opuszczenia siostry, szwagra i innych znajomych, a podążenia za panią Anną. Nie łudził się nadzieją wyprawienia Kobryńskiego przed Wielkąnocą, gdyż partja w klubie trwała wnajlepsze. Jeżeli zaś z jednej strony nie chciał do czasu zwracać uwagi na zabiegi swe o panią Annę, to z drugiej — pragnął jej dowieść, że tylko dla niej wybrałby się do Rzymu.

Gdy pani Oleska i Fabiusz oznajmili mu zgodnie, że wyjadą pojutrze, Jerzy odrzekł z bolesną powagą:

— Jedzie i moja siostra z mężem, i państwo d'Anjorrant, i Słuszka.

Pani Anna zarumieniła się nagle:

— A pan?

— Ja muszę tu pozostać.

— To szkoda... dla pana.

Odęła usta niechętnie, a wzrok jej, zwykle jasny i prosty, ominął trochę pogardliwie Jerzego, który patrzał posępnie, niby ofiara nieodgadnionych przeznaczeń.

Fabiusz nie namawiał Jerzego do wspólnej podróży i rozmowa ogólna oziębła do tego stopnia, że wszyscy uciekli się do filiżanek z gorącą herbatą. Gdy już Dubieński miał wychodzić, pani Anna znalazła chwilę na zapytanie, którego Fabiusz nie dosłyszał:

— Może pan wyjeżdża gdzieindziej?

— Nie, pani. Gdybym się mógł stąd ruszyć, zpewnością podążyłbym do Rzymu.

— Chyba obowiązek?... Ej, niech pan jedzie!...

— Dla tych słów pani, dla tych jednych na świecie, gotów jestem wszystko poświęcić.

Pani Anna chciała osłabić znaczenie tych słów mimowolnie czarodziejskich, ale niezręcznie było mówić dłużej na uboczu z Jerzym, więc rzekła tylko:

— W każdym razie zobaczymy się jeszcze przed wyjazdem?

— W każdym razie.

Trzeba było teraz namówić Kobryńskiego. Pociechy religijne Wielkiego Tygodnia, wspaniałości sztuki starożytnej stanowiły dla Władzia pojęcia zupełnie oderwane, do których zgłębienia nie czuł wcale pociągu. Przytem pani de Sertonville zostanie zpewnością w Nizzy; Kobryński nie spodziewał się pociągnąć jej za sobą do Rzymu, widział bowiem z boleścią, że wpływ jego na nią, jeżeli jakikolwiek istniał, osłabia się z każdym dniem. Przegrywał stale w ostatnich czasach, wyczerpał wszelkie dozwolone i zakazane źródła kredytu. Był w prawdziwych opałach; zaledwie ratował swą „pozycję“ pomysłowemi rzutami finansowemi, do których miał niejakie zdolności.

Jerzy wstrzymał się od powtarzania szwagrowi budujących przemów w rodzaju tych, które sam słyszał od Tereni. Utyskiwał tylko, że nie może jechać do Rzymu, dokąd wybiera się najlepsze towarzystwo. Każdy znajdzie tam to, czeka szuka: jedni spokój, drudzy wrażenia artystyczne, inni znowu doskonałą partję w klubie „della Caccia“.

— Czy wiesz co o partji w Rzymie? — zapytał przemyślny Władzio.

— Mnie to mało obchodzi, ale d'Anjorrant i Schwind tylko dlatego jadą. Podobno nigdy tyle nie grano w karty „alla Caccia“, jak w tym roku. Jest duży zjazd bogatych ludzi. Schwind mówi, że tam dopiero można wygrać, bo ma się do czynienia z panami, nie, jak tutaj, z tłumem zawodowców.

Kobryński uznał tę wiadomość za ważną i pożyteczną. Nagle skłonił się do ogólnych projektów, pragnął tylko doczekać Wielkiejnocy. Tego samego zdania był d'Anjorrant, gdyż twierdził, że w Wielkim Tygodniu wszystko zamknięte w Rzymie, oprócz kościołów. Zamykają muzea, ustaje ruch towarzyski i klubowy, zwłaszcza w świecie „czarnych“, między którymi ma się oczywiście najwięcej znajomych. Margrabia był co do obozu katolikiem.

Tymczasem Olescy wyjechali, zostawiając Zosię w Nizzy pod opieką pani Jabłońskiej. Przyszedł czas wielkanocny, na Rivierze wyglądający inaczej, niż w innych zbiorowiskach ludzi. Nie słychać tu nigdzie dzwonów kościelnych, życie nie rozgrzewa się wesoło i uroczyście, raczej nawet powszednieje. Ciągłe święto zmysłów, trwające tutaj, nie godzi się ze wspomnieniami obcych rocznic świątecznych. Prawdziwe „towarzystwo“ mniej się pokazuje w miejscach publicznych, a ta wstrzemięźliwość pochodzi głównie stąd, że na pola zabaw, ogólnie dostępne, wylega rojnie mieszkaniec

miejscowy, zwykle pracowity, a teraz pragnący użyć trochę świata i przypatrzyć się zabawom panów. Panowie właśnie wtedy darzą go skąpo dobrodziejstwem swego widoku: wolą przebywać po domach i po klubach.

— Nie można już prawie jadać w restauracjach; goście cuchną czosnkiem — zawyrokował d'Anjorrant.

Te wyrazy mistrza skazały wiele osób z „towarzystwa" na przymusowe rekolekcje. Zaś księżna Kobryńska odprawiała przez trzy dni rzeczywiste rekolekcje, w godzinach popołudniowej herbaty u „Dobrego Pasterza", w jedynym kościele nicejskim, o którego istnieniu Władzio wtedy się dowiedział.

Pierwszego dnia Wielkiejnocy pani Granowska urządziła liczne śniadanie, któremu starała się nadać pozór święconego przez ciasta w rodzaju bab, pochodzące z cukierni Rumpelmayer'a. Ale tradycyjna uczta nie udała się, bo wielu rodaków przyszło zapóźno, z zapuchłemi oczyma, z powodu, że partja w klubie, zapewne ostatnia, przeciągnęła się od poprzedniego wieczoru aż do dziesiątej rano. Kobryński nawet wcale nie przyszedł i powierzył żonie trudne tłumaczenie wobec Granowskich, z którego księżna wywiązała się ze smętną prostotą, gdyż kłamać nie mogła w pierwszy dzień Wielkiejnocy.

— Władzio nie przyjdzie. Darujcie mu ze względu na ogólne przebaczenie, które spłynęło na nas.

Zakopiański, gdy to posłyszał, zwierzył się Słuszce:

— Rodaczka nasza zbudziła słowem trzepoty pokutne... Czy nie czujecie zapachu świętości, niby powiewu od naszych pól, od naszych pałaców strzechowych?

— Pachną panu może święcone baby? — odpowiedział Słuszka.

W drugie święto liczne towarzystwo z margrabią d'Anjorrant na czele, oczekiwało na dworcu przybycia „Express'u de Rome". Księżna Teresa mówiła do Antosia Granowskiego, który przybył tu bez kufra i miał minę jeszcze mniej wyraźną, niż zazwyczaj:

— Jak to? pan nie jedzie z nami? przecie mama pozwoliła...

— Nie mogę.

— A cóż będzie z wycieczką naszą do Ojców Zmartwychwstańców?

— Nie mogę.

W tej chwili Jerzy, spóźniony ostatecznie, blady od jakiejś wewnętrznej rozterki, przypadł do siostry:

— Tereniu! nie jadę dzisiaj. Jeżeli zdołam się uwolnić, będę w Rzymie za parę dni. Wierz w mój najszczerszy zamiar, ale dzisiaj — niepodobna.

Księżna oniemiała. Kobryński spojrzał na szwagra wilczym wzrokiem, pełnym podejrzeń. Nareszcie odezwała się Terenia:

— Ależ, Jurku, bój się Boga! Dlaczegóż my zatem jedziemy? Jak zdamy sprawę ojcu?...

— Nie zdradzę was, nie skompromituję rodziny. Zaufaj mi, Tereniu!

Tymczasem pociąg, którego nawet margrabia d'Anjorrant nie zdołałby zatrzymać na parę minut dłużej, zajechał na stację z rozdzierającym świstem.

XV.

Fabiusz i pani Anna powracali pod wieczór z opactwa Kartuzów „alle Tre fontane“. Powóz toczył się równo po „via Appia nuova“, którą woźnica nazywał uprzednio „bellissima“, namawiając na wycieczkę, a teraz drzemał na koźle, znieczulony przez „vino romanesco“ i przez ogromną senność, rozlaną po Kompanji.

Można już było patrzeć bez olśnienia na słońce złagodzone, przecięte od góry chmurką, wiszące jak rubinowa czara nad ogromnem miastem. W zabarwionym pyle stały rude mury zewnętrzne, dalej masy pospolitych domów mieszały się z kunsztownemi uwieńczeniami starych gmachów, głównie świątyń, odznaczonych wysoką poboczną dzwonnicą. Na lewo zaś, w oddali, tam, gdzie słońce dobiegało dziennego kresu, gmach jeden, podobny symetrycznej górze, nakrywał miasto błogosławiącą kopułą.

Odezwała się pani Anna:

— Lubię już Rzym. Zaczynam nabierać rzymskiego patrjotyzmu.

— A mówiłem, że trzeba poczekać tydzień. Kiedy wpadłaś w marne życie włoskie, pleśniejące

na zwaliskach, a potem w przesyt od mnóstwa źle rozmieszczonych arcydzieł sztuki, mówiłem, że trzeba być cierpliwą i skupić się, zanim przemówią głosy wieków.

— Mówiłeś. Raz jeszcze masz słuszność.

— Mniej dbam o to uznanie, niż o twoje wrażenie, Anno. Czy ci tu dobrze?

— Doskonale... dobrze... coraz lepiej. Dzisiaj szczególnie taki spokój!

Głośno wciągnęła do piersi łagodne powietrze i rzuciła okiem po równinie, miejscami zieleniejącej, której wiosenną wesołość mąciły jednak długie, połamane szkielety akweduktów, a na lewo w oddaleniu szereg małych grobowcowych zwalisk.

— Tam... to stara via Appia? nasza droga wczorajsza do Tivoli?

— Tak. O, masz ten największy, okrągły, grób Cecylji Metelli.

— Wolę drogę dzisiejszą; na tamtej zanadto smutno. Gdyśmy jechali wczoraj, cienie grobów kładły się co chwila na nas.

— A mnie — rzekł Fabiusz — ten cmentarz nie mówi nic smutnego. Jest już tak stary, że utracił wszelką woń śmierci. Patrz naprzykład na ten kurhanek wśród pola. Przysypane zwalisko szczerzy z pod niego spróchniałe zęby, ale na wierzchu jaka zdrowa pszenica! Właśnie tutejsza ziemia świadczy o wieczności i triumfie życia.

— Ale nie żyje...

— Jest pełna dokumentów życia. Pokazywałem ci na Palatynie przekrój całej historji świata,

od murów przedkrólewskich aż do naszego baroku. Wszystkie cywilizacje leżą tu słojami jedna na drugiej, dają się zobaczyć, odtworzyć, zrozumieć. Najpodlejszej cywilizacji, obecnej, jest tu najmniej. Dlatego Rzym jest mojem miastem.

— Jednak dokumenty historji nie są życiem samem.

— Są treścią istnienia. Wszystko co czynimy, czego pragniemy dzisiaj, jest drobiazgiem, dla nas bardzo ważnym, ale nieskończenie małym w ewolucji wiecznego życia. To pyły, z których tworzy się kamień, a z kamieni wznoszą się gmachy. Zrozumieć, kim jesteśmy, o ile i na jaki pożytek budujemy, żyjąc — oto zadanie niedościgłe, lecz porywające, jedynie godne większych ludzi. A najprzód przyjrzeć się trzeba pilnie dokumentom ludzkim, to jest świadectwom tych czynów trwałych, które po sobie ludzie zostawili. Potem można dopiero zacząć rozumieć życie obecne, czyli zbliżyć się do szczytu mądrości, a nawet odgadnąć przyszłość, czyli być najszczęśliwszym z ludzi.

— Czy do szczęścia trzeba koniecznie wszystko rozumieć.

— Do wzniosłego szczęścia — jak najwięcej rozumieć.

— A do zwykłego czasem wystarcza piękny zachód słońca i pewność, że się wraca na noc spokojną do Rzymu.

— To dobrobyt, nie szczęście. Potrzeba go nam, bośmy słabi, bośmy dziećmi rozpieszczonej, sybarytycznej epoki.

Chłodniejszy powiew przeszedł przez zasypiającą Kampanję, i pani Anna lekko się wzdrygnęła. Fabiusz otulił troskliwie jej kolana pledem, który zabrał w przewidywaniu wieczornego powrotu.

— Zwiększasz mój dobrobyt — rzekła Anna uśmiechając się z ponętną ironią do towarzysza: — uczysz inaczej, a postępujesz inaczej.

Fabiusz spojrzał wymownie i rzekł gorąco:

— Kochać mi wolno... dobro cudze.

Gdy wjeżdżali do miasta przez bramę świętojańską, słońca już nie było na niebie, tylko pożegnalne blaski, fioletowe i złote. Chociaż objęty już murem miejskim, ogromnie długi plac Lateraneński był pusty i przejmująco cichy. Jest to jeszcze przedłużenie Kampanji rzymskiej, na której historja, zmęczona tylu wysiłkami, chora na marazm starości, zdaje się spać snem wiecznym. I tu, na placu, rzadko przesuwał się człowiek, albo wózek zaprzężony mułami. Wieczór wypędził już stada ciekawych z kościołów i muzeów, stojących na tej dziwnej połaci ziemi, obramowanej od południa poszczerbionym prastarym murem i rzadkiemi ponad nim piniami. Od kościoła Santa Croce in Gerusaleme do bazyliki św. Jana, na przestrzeni pół kilometra, wiatr jakiś przedwieczny wymiótł ziemię płową i powietrze dziwnie puste.

Podróżni skierowali się od bramy miejskiej na lewo, ku bazylice, na której ogromni święci stali w łunie pozachodniej; przejechali między kościołem a wielką budową Scala santa i mieli teraz po lewej stronie część Lateranu najpiękniejszą

z bocznym kolumnowym przedsionkiem bazyliki i chrzcielnicą Konstantyna Wielkiego. Zdawało się, że szaro-żółte ogromy gmachu, zrobione niby ze zgęszczonego zmierzchu i bladej zorzy, roztopią się i znikną razem z dniem umierającym.

Sen rozbudzony, który jest zapomnieniem bieżącego życia, a wzlotem do płynącej ponad drobnemi umieraniami wieczności, sen wszechbytowy ogarnął milczących dwoje ludzi, w drodze powrotnej do Rzymu.

Zegary wieżowe poczęły dzwonić uroczyście po siedm razy. Wielkie głosy poważne i mniejsze, jękliwe, przeciągnęły harmonijnie, wysoko nad miastem, jak ciężki lot spiżowych ptaków.

— Bije wieczności godzina — rzekł cicho Fabiusz.

Wjechali wkrótce w ludne ulice, gdzie zgiełk pospólstwa, dzwonki tramwajów, alarmowe trąbki samochodów, otrząsnęły z dusz ich sny wielkie i porównały Rzym z każdą stolicą europejską.

Olescy mieli już zwyczaj jadać obiad we dwoje w restauracji; próbowali kilku miejscowych kuchni, a że wszystkie były złe, przenosili się codzień do innej. Tego dnia pani Anna oświadczyła, że chce jeść obiad w hotelu Kwirynału.

— Znam i Kwirynał — rzekł Fabiusz. — Płaci się tam drogo i panuje styl, którego nie lubię: zbiera się w sali arystokracja żołądka, najniższa z istniejących po wszystkie czasy. Sama zobaczysz.

— Ale może dadzą dobre mięso i bez pomidorowego sosu. Raz spróbować nie szkodzi.

Fabiusz odwiózł więc panią Annę do hotelu Londyńskiego, gdzie mieszkała, a sam poszedł się przebrać do swego mieszkania w innym hotelu pobliskim. Do Kwirynału trzeba było się trochę przystroić, aby nie odróżnić się od innych gości.

Pani Anna wchodziła na schody sama, powoli, myśląc o różnych rzeczach rzymskich i dawniejszych. Rzym ją zajmował, kołysał, przenosił w piękne dziedziny myśli, nie zapełniał jednak całkowicie próżni, którą czuła w sercu od czasu wyjazdu z Nizzy. Fabiusz był jej światłem, wybornem towarzystwem i coraz bardziej, czuła to dobrze, stawał się jej własnością. I ona go ceniła coraz bardziej. Pragnęłaby tylko widzieć go czasem mniej rozumnym, mniej doskonałym, może trochę młodszym. Powłóczyćby się z nim po jakich weselszych kątach, niż muzea, kościoły i opactwa Kartuzów! Czyni wprawdzie co może: wymyśla wieczorne rozrywki, chodzi z nią do teatru, ale... Ci ludzie nicejscy, chociaż marne figury, inaczej umieją się śmiać i bawić. A nawet Dubieński, poważniej usposobiony, umie wynaleźć weselszą nutę rozmowy.

— Tak. Tylko Dubieński zalecał się do mnie, o ile mu na to pozwoliłam. Teraz, Bóg wie? może i zapomniał?... Dlaczego Fabiusz nie mówi mi nigdy poprostu o swych uczuciach, o swych zamiarach względem mnie?... Może sobie nie ufa? Dawniej, gdy jeździł po Śląsku i widywaliśmy się rzadko, nie przychodziło mi to do głowy, ale teraz, kiedy od paru miesięcy widujemy się codzień, to dziwna. Zgodziłam się nawet powoli na takie życie wspólne, które

musi zwracać uwagę ludzi na nas... Ale mogę mu zaufać. Ostatecznie, jest wolny, jest dobry, jest mi oddany, i ma coś w sobie takiego, że można ze wzniesionem czołem z nim mówić i z nim się pokazywać. Jeżeli się wkrótce nie oświadczy, oświadczę mu się sama i wyjdę za niego. Trzeba go kochać.

Zaledwie weszła do swego pokoju i zapaliła elektryczność, posłyszała nerwowe pukanie do drzwi; nie zdołała odpowiedzieć, gdy we drzwiach ukazał się Jerzy Dubieński. Był we fraku, płaszcz i kapelusz trzymał w ręku, ale oczy miał szeroko otwarte, jakby sam się przestraszył swego niespodziewanego wtargnięcia do pokoju. Ten strach udzielił się pani Annie. Cofnęła się i zawołała:

— Co — pan tu?...

Jerzy pozostał skromnie przy drzwiach, które cicho za sobą zamknął. Skłonił się pokornie:

— Pani!... Przyjechałem wczoraj wieczorem i przez cały dzień szukam sposobności spotkania...

Łapał trudno oddech i był naprawdę blady.

— Dlaczegóż nagle? wieczorem?...

— Chciałem wcześniej, ale nie było pani w domu... Dowiedziałem się, że państwo pojechali... i wracać będą przez bramę świętojańską... Stałem pod Lateranem, widziałem panią przejeżdżającą...

— Cóż to za romantyzm! Trzeba było powóz zatrzymać.

— Nie śmiałem.

— A teraz pan śmie wchodzić do mego mieszkania?

Jerzy przetarł czoło ręką.

— Rzeczywiście... jestem trochę oszołomiony swoim nagłym wyjazdem, szukaniem pani...

— Niechże pan na chwilę usiądzie. Dzień dobry!... możemy sobie chyba powiedzieć: dzień dobry?

Śmiech zaigrał w jej głosie i wyciągnęła do Jerzego rękę. Przycisnął ją do ust z takiem upragnieniem, że pani Oleska rękę cofnęła.

— Co panu jest? Zdarzyło się jakie nieszczęście?

— Nic wcale. Pogoniłem tylko za swym snem, za losem, za koniecznością. Poświęciłem wszystko.

Wzrok jego rozpłomienił się. Pani Anna powstała z krzesła, na którem tylko co przysiadła i rzekła:

— Jutro zapewne się spotkamy. Teraz muszę się przebrać na obiad. Fabiusz zaraz tu przyjdzie.

— Odchodzę. Chciałem tylko zapytać: czy nie ściągnąłem na siebie gniewu za to, żem przyjechał?

— Gniewu mojego?! Może inni gniewali się na pana, że odjechał, ale dlaczegóż ja miałabym wpływać na pańskie zamiary? Mnie to jest... obojętne.

— To wyrok najgorszy.

— Nie wyrok, tylko mówię bez gorączki. Zresztą bardzo się cieszę, że pana widzę.

— Dziękuję choć za tę jałmużnę.

— Panie Dubieński, mówmy poprostu, jak dawniej, jeżeli pragnie pan pozostać ze mną w przyjaźni. W dawnych warunkach możemy się spotykać. Teraz śpieszę na obiad do hotelu Kwirynału.

— I ja tam idę. Kobryńscy, d'Anjorrant i inni znajomi mieszkają tam już od trzech dni.

— To pan nie razem z nimi przyjechał?

— Ja wcale przyjechać nie miałem. Dopiero przedwczoraj... poprostu uciekłem.

— Jednem słowem: zmienił pan projekt. Do widzenia.

Ubierając się, poczuła pani Anna, że nagle Rzym zakwitł jakiemś nicejskiem, grzesznem kwieciem. Czy towarzystwo tamtejsze, które tu zjechało, czy sam tylko Dubieński przeniósł z sobą tę atmosferę?... Nie poczuwając się jednak do żadnej winy, rada z siebie, że przyjęła Jerzego jak należało, stroiła się wesoło. Służąca, która jej pomagała, wyraziła głośno uwagę:

— Pani dzisiaj jeszcze piękniejsza niż zwykle. Prawdziwa wiosna!

Pani Anna uśmiechnęła się do lustra, do służącej i do siebie, a gdy Fabiusz zjawił się w sąsiednim saloniku, nuciła jakąś piosnkę.

— Czy wiesz, mój kochany, że połowa naszych znajomych w Nizzy przyjechała do Rzymu? Dubieński tu był przed chwilą. Obiadują właśnie w Kwirynale.

Po twarzy Fabiusza przeszedł wyrazisty skurcz, jakby szybko przełknął coś gorzkiego. Ale zaraz głowę podniósł odważnie:

— Będziemy zatem mieli zaszczyt ich spotkać.

Po kwadransie Fabiusz wchodził pierwszy do sali restauracyjnej w hotelu Kwirynału, aby rozejrzeć się, czy jest miejsce. Była to sala dostępna tylko dla bogatych, gdzie jadano „à la carte“. Ujrzał zaraz przy jednym stole Kobryńskich, lady Cosway, Schwinda i Dubieńskiego. Fabiusz wi-

docznie nie spodobał się kelnerom, gdyż żaden z nich nie ruszył się na usługi nowego gościa. Owszem, surowa twarz marszałka wyrażała powątpiewanie, czy nowy gość ma potrzebny cenzus, aby być tu przyjęty.

Ale teraz we drzwiach ukazała się pani Oleska w czarnym kapeluszu na jasnych włosach, różowa, ujmująca, wspaniała i przemówiła cicho do Fabiusza. Natychmiast służba rzuciła się do przybywającej, wynalazła miejsce z pomocą paru mężczyzn, którzy skwapliwie się usunęli. Poszanowanie dla nowo przybyłych wzmogło się jeszcze, gdy panowie od najpokaźniejszego stołu: Kobryński, Schwind i Dubieński, powstali, a panie uprzejmie się ukłoniły. Pani Anna, trochę zakłopotana przez zamieszanie, które sprawiła, znalazła się nareszcie przy osobnym stoliku ze swym kuzynem.

W sali, obitej fałszywemi arabskiemi makatami, z pięćdziesiąt osób, rozmieszczonych w różnych kombinacjach przy małych stołach, rozmawiało cicho, lub nic nie mówiło. Żuli i przyglądali się sobie wzajemnie. Nikt nie pozwalał sobie na wesołość, ani na zapomnienie swej godności, wystawionej na szwank i pokaz. Trzeba było w wielkich liniach okazać zgromadzonym, a nawet służbie, że się jest nie byle kim, że się przywykło do wszelkich wysubtelnień życia i że się używa normalnie znacznych dochodów. A przecież, jedna pani miała lepsze klejnoty, druga gorsze; jednym mówiono: „Ekscelencjo“, innym tylko: „panie“; jedni byli wysmukli, drudzy niscy i krzywi. Względne niedo-

statki trzeba było nagrodzić innemi zaletami; z tego powodu między nieznajomymi współbiesiadnikami zachodził stosunek cichej zawiści i grzecznej, lodowatej pogardy.

Chociaż więc ci ludzie wyglądali naogół źle usposobieni do trawienia, wznoszono raz po raz do sali wielkie aparaty, których zawartość nie zawsze odpowiadała kosztownym futerałom; często w hermetycznym rondlu znajdował się maleńki kawałek mięsa zaprawnego historycznem nazwiskiem, to znów na suto mchem wypchanej, ozdobnej liśćmi podstawie, rumieniło się tylko kilkanaście truskawek. Zajeżdżał zato czasem srebrzysty wóz z ogromną jakąś potrawą, do której krajania, podlewania i podania przystępowało czterech urzędników, dwóch w bieli, dwóch w czerni, z kapłańskiem namaszczeniem.

Fabiusz milczał i przez to samo nie odróżniał się od innych: milczenie było główną częścią uroku tej sali.

Ale gdy już kawa, z ceremonją należną takiej kawie, zjawiła się na stole Oleskich, wszedł do sali Eustachy Słuszka i rozprężył trochę nieubłaganą etykietę. Kilka uśmiechów zabłysło na twarzach; znano go już tutaj i ceniono. Kilka słów przemówił przy stole Kobryńskich, potem z oznakami niekłamanej radości zbliżył się do Oleskich i przysiadł się do nich.

— Nie mogłem się dowiedzieć, gdzie pani mieszka. Jest to wcale niestosowne z pani strony, że nie oznajmiła mi dotychczas o miejscu swego

pobytu i nie powołała mnie do usług, które, pochlebiam sobie, mogłyby być pani użyteczne.

— Nie wiedziałam również, gdzie pan stanął i czy wogóle znajduje się w Rzymie.

— Oto są właśnie skutki niedokładnego między nami porozumienia i lekkomyślności niewiast. Ale zapomnijmy o tem... Gdzie państwo jadacie, że tu pierwszy raz się spotykamy?

— W Café di Roma, w Café Colonna, gdzie się zdarzy — odpowiedział Fabiusz.

Słuszka rzekł dramatycznie:

— Ależ tam trują ludzi!

— Tak; kuchnia licha, ale przynajmniej sale zabawniejsze; coś się czasem posłyszy, coś zobaczy: jakieś słowo ludzkie nieskrępowane, jakiś ruch miejscowy, typ malowniczy. A cóż tu?

— Tu jesteśmy skrępowani przez cywilizację.

Fabiusz, który dawno już polubił Słuszkę i odgadł inny, lepszy grunt pod jego frazeologją, spojrzał mu teraz w oczy z przyjazną ironją.

— Panie Eustachy! nazywajmy rzeczy po imieniu. Czy cywilizacją nazywa pan tę haniebną pstrokaciznę ścian, to zdzierstwo po franku za truskawkę, które się kupuje po pięć centów od przekupniów na schodach Trinità dei Monti? albo wytworność tego pana, który siedzi obok nas, a jest handlarzem wołów z Wrocławia?

— Teen?... doprawdy? Skąd pan wie to wszystko?

— Wiem, bo patrzę, uczę się i sądzę bez uprzedzeń. Jeżeli cywilizacją są te dobrowolne

nudy, albo nie — źle mówię — to wzajemne rozkładanie przed sobą pozornych swoich wyższości, ten konkurs przed komitetem kelnerów, ten obrzęd potwornie źle zastosowany do skromności funkcji, którą tu spełniamy?...

Słuszka zaśmiał się głośno, i śmiech ten, jak powiew na pustyni, ożywił znojną atmosferę sali.

— Ha, ha, ha! Szkoda, że niema tu d'Anjorrant'a! Zaraz przyjdzie — byliśmy razem na obiedzie — trzebaby mu to na francuski przetłumaczyć.

Fabiusz krótkiem machnięciem ręki odpędził od siebie nazwisko margrabiego i prawił dalej:

— W każdym objawie życia ludzkiego, choćby najmarniejszym, są źdźbła cywilizacji. Więc tutaj naprzykład, jest czysto. To zdobycz nowszych czasów, nie pierwszorzędna, ale i nie pośledniа. Ale tutaj jest brzydko, jest... mogę to powiedzieć, skoro właśnie biorę w tem udział, jest głupio. Na dobro cywilizacji zapisawszy czystość, mamy na jej szkodę do policzenia brak estetyki, fałszywą pozę, zdzierstwo. To nie zarobek, lecz strata. Jedna jeszcze z cech dzisiejszego barbarzyństwa, że nie zna ono proporcji między wartościami społecznemi. Wielu jest takich, którzy nie rozróżniają ciężaru gatunkowego czystości fizycznej i uczciwości, wygody i estetyki.

Mówił już przydługo i żywo. Zwracano uwagę od sąsiednich stołów na tę niezrozumiałą perorę w obcym języku, a szczególnie komitet kelnerów, z marszałkiem na czele, zebrał się u drzwi służbowych, dla narady nad dziwnym gościem. Kie-

dy Kobryńscy powstali od stołu, Olescy również i wszyscy znajomi zszedłszy się, pociągnęli razem ku wyjściu, służba kłaniała się wychodzącym ze zwykłą ostentacją, lecz oczy tych znawców biegły głównie za niepozornym człowiekiem, któremu prawdziwi panowie okazywali jednak dużo względów.

— *C'e un' professore* — zawyrokował starszy kelner i z zadowoleniem pociągnął nosem.

XVI.

Towarzystwo przeniosło się pod oszklony dach wielkiej sieni hotelowej, gdzie grała orkiestra i wolno było palić tytuń. Znajomi skupili się, i tutaj dopiero wymieniono informacje, kto kiedy przyjechał, gdzie mieszka, co widział, jak długo zamierza pozostać w Rzymie.

Księżna Teresa, dumna z tego, że zdołała zaprowadzić brata do świętego grodu, wyrażała jednak pewne ubolewania. Okazało się bowiem, że listy polecające z Chojnogóry nie posiadają wartości: Ojciec Melchior ma podagrę i, chociaż przyjął krewnych z rozrzewnieniem, nie może im towarzyszyć w żadnych ciekawych oględzinach, gdyż nie opuszcza mieszkania. Dał tylko kilka rad i adresów. Jeszcze gorzej było z drugą świątobliwą osobą, do której wyprawił swe dzieci pan Maciej Dubieński. Księżna Teresa mówiła ze łzą w głosie do pani Oleskiej:

— Udaliśmy się do monsignora Concomassa. Proszę sobie wyobrazić: staruszek siwy, trzęsący się, niezmiernej dobroci. Cokolwiek mu się powie, odpowiada: „si, si, si — gia, gia, gia...“ i kiwa suchutką rączką. Należy już zupełnie do innego świata!... Prawda, Władziu?

Książe Kobryński był osowiały, blady, nabył też ostatnimi czasy nerwowego kurczu w twarzy, który mu odsłaniał na chwilę zęby; wyglądał wtedy jak wilk osaczony, grożący kłami. Teraz obracał cygaro w ustach, nie biorąc udziału w rozmowie. Odezwał się jednak:

— Monsignor Concomassa ma rozmiękczenie mózgu.

— Władziu! nie można tego o nim powiedzieć. Pamiętasz, jak się pięknie wyraził o naszym kraju? „Jesteście ukochanymi synami naszej świętej Matki...“

— A potem dodał tylko: „si, si, si — gia, gia, gia“.

— Trudno więcej od biednego staruszka wymagać.

— Trudno.

Z powodu więc, że nie dopisały rekomendacje, Kobryńscy nie zwiedzili jeszcze nic; tylko księżna była raz u świętego Piotra, a książę od pierwszego wieczoru, w klubie, do którego wprowadził go d'Anjorrant, członek rzeczywisty.

Margrabia odwiedził też znajomych w Rzymie i dzisiaj był na obiedzie u książąt Colonna, na który wprowadził tylko Słuszkę z pomiędzy osób

importowanych z Nizzy. Zatem kompanja była rozprzężona i poniekąd bez dowódcy. Bolało to księżnę Teresę, szczególniej teraz, wobec przyjazdu Jerzego, nie wiedziała bowiem, jak się wziąć do misji nawrócenia brata; zaprowadziła go do Rzymu, to prawda, ale wobec odpadnięcia spodziewanej pomocy dwóch świątobliwych mężów, nie umiała nakreślić planu pobożnej i artystycznej pielgrzymki. Spotkanie Fabiusza nasunęło jej myśl, którą uznała za opatrznościową: ten pewno jest wybornym przewodnikiem po Rzymie! Myśl tę rozważyła przy obiedzie, oświadczyła ją bratu, który zdawał się zupełnie podzielać jej zdanie, a nawet dziwił się trafności wynalazku. Natychmiast więc po obiedzie księżna okazała wiele serdeczności Oleskim, chcąc wyzyskać Fabiusza dla swoich wysokich celów.

Fabiusz nie lubił Kobryńskich, ale trudno było dawnym znajomym, spotkanym w tak dalekich stronach, okazać niechęć, zwłaszcza, że księżna udawała się niedwuznacznie pod opiekę, z gestem wygnanej królowej, która prosi o gościnę w domku jednego ze swych dawnych poddanych: „Patrzcie, oto ja, z Dubieńskich Kobryńska, proszę...“ Mówiła zaś trochę prościej:

— Na nieszczęście, dwaj mistrzowie, którzy mieli nam przewodniczyć, monsignor Concomassa i Ojciec Melchior, są słabi. Łowimy więc pana, panie Oleski. Mam nadzieję, że nam pan nie odmówi i znajdzie w nas pojętnych słuchaczów. Jerzy zapewnia, że pan zna Rzym doskonale.

— Znam go nieźle, ale nie wiem, czy mój komentarz przypadnie państwu do smaku.

— Potrafi go pan do nas zastosować.

— Mój komentarz nie jest bardzo podatny do zastosowań; mówię zawsze to, co wiem, lub to, w co wierzę.

Po wymianie kilku zdań podobnych, stanęło na tem, że Fabiusz pokaże towarzystwu Forum i Watykan.

W tej chwili margrabia d'Anjorrant powrócił z żoną do hotelu i przywitał się z Oleskimi. Rzekł do pani Anny:

— Nareszcie ukazała się pani. Myślałem, że państwo powędrowali gdzieś w głąb kraju. Nie widać was ani tutaj, ani w operze, gdzież więc się gnieździcie?

— Pierwszy raz jestem w Rzymie. Zaczęłam dopiero zwiedzać.

— Ach! pani ogląda podług Baedeckera. Przypomina mi to rzewne chwile mego dzieciństwa: program na dwa tygodnie — dzień pierwszy: — informacje ogólne — piazza del Popolo — cztery kościoły — jeden pałac — przejażdżka do willi Medyceuszów — panorama z Belwederu — 50 centymów na piwo. Po kilku dniach takiego życia marmury i farba olejna ciążą na żołądku, jakby się ich sporo połknęło, a nogi się ma podcięte, jak po... konnem polowaniu co najmniej. Ja dawno porzuciłem ten system zwiedzania miast. Staram się żyć wszędzie po swojemu. Potrącam o ciekawe rzeczy, tem lepiej; otaczają mnie dzieła sztuki,

to zwiększa moją przyjemność pobytu. Ale uczyć się już nie chcę.

— A ja się przyznam, że mnie to zajmuje. Chcę się zorjentować w tych skarbach. Zmęczona byłam z początku; teraz mogę łatwo oglądać przez kilka godzin i porównywać. Dumna jestem, kiedy poznam bez objaśnienia epokę lub autora. Znam się już coraz lepiej.

— Któż ma szczęście służyć pani za przewodnika? — zapytał d'Anjorrant z niejakiem lekceważeniem.

Pani Anna zadziwiła się i zarumieniła.

— Przecież mój kuzyn...

— Aa! — odrzekł margrabia, skłaniając nieco głowę.

Księżna Teresa wmieszała się do rozmowy:

— Pan Oleski jest wybornym znawcą Rzymu. Obiecał i nam udzielić swych wiadomości. Jest podobno niezrównany.

— Nie dziw, że kto jest Fabiuszem, musi być Rzymianinem.

— Wystarcza mi być Polakiem — odrzekł Fabiusz — aby znać i cenić łacińską kulturę. Francuzi mieli ją także niegdyś w poszanowaniu. Czy pan należy już do „nowej Francji", margrabio?

D'Anjorant skrzywił się nieznacznie, ale rzekł z pozorną grzecznością:

— Widzę z żalem, że pan gorzej zna Francję, niż Włochy.

— Zaczynamy, niestety, coraz bardziej o Francji zapominać — odpowiedział Fabiusz obojętnie.

— Jest to dla nas nieodżałowana strata.

— A dla nas poprawa z historycznego błędu.

Słuszka, miarkując, że rozmowa idzie krzywo, podniósł obie ręce:

— Kochani panowie! Wiemy wszyscy, ile winniśmy Francji, jak dużo z jej stylu, z jej elegancji, z jej pracy umysłowej skorzystaliśmy przez wieki. Jej to przewadze cywilizacyjnej zawdzięczamy, że możemy dzisiaj naprzykład w obcem mieście, w międzynarodowem towarzystwie, porozumieć się jednym językiem, który posiadamy jak nasz własny...

— Ależ panowie są dzisiaj nieznośni! — zawołała margrabina: — karmicie nas jakąś polemiką zamiast wieczornej muzyki. Czy już zapóźno do opery?

— Która godzina na naszej wieży? — rzekł wesoło d'Anjorrant, zwracając się do Schwinda.

Schwind z powodu wysokiego wzrostu i dziwnej dokładności, którą stosował do swego nieporządnego życia, miał wszelkie prawo nazywać się „zegarową wieżą". Dobył poważnie zegarek.

— Za dwie minuty pół do dziesiątej. Koniec drugiego aktu, Ciampi już śpiewał wielką arję.

Było zapóźno. Całe towarzystwo wyraziło ubolewanie, gdyż całe było nawskróś muzykalne. Gdyby nawet kto nie był, nie śmiał się do tego przyznać. Można było jednak stwierdzić, że ta sama opera działała zupełnie inaczej na każdego. Panią d'Anjorrant, bardziej nerwową od siostry, muzyka rozmarzała; lady Cosway zachowywała się grzecznie i normalnie; d'Anjorrant rozmawiał pra-

wie przez cały czas przedstawienia, zwracając uwagę tylko na najgłówniejsze arje. Kobryński często tracił monokl z oka i bronił się od snu. Schwind stawał się nerwowo niespokojnym, a Słuszka ponurym, jak pod wpływem alkoholu. Zaś księżna Teresa na operze podlegała dziwnemu przeistoczeniu: zachwyt jej stawał się mistycznym, a nozdrza falowały jakby od przypływu jakiegoś niewidzialnego fluidu, który prosto od szczytów artyzmu trafiał do wybranki. Niektórzy wierzyli w nadzwyczajną jej wrażliwość i uzdolnienie, inni byli zdania, że pojmuje muzykę zbyt alegorycznie. Gdy powstawała dyskusja, księżna wyrażała się tak podniośle, że zwykle słuchacze milkli. Lubiła zaś mówić o „tonach szlachetnych“, o „realistycznym lub symbolicznym kierunku“ muzyki, o muzyce „wielkiej i małej“, słowem o rzeczach, na które wszyscy się godzą, bo nikt ich zrozumieć nie może. Dzisiaj zapragnęła temi frazesami olśnić Fabiusza. Ale odpowiedział jej niezadawalająco:

— Proszę pani, ja o muzyce nie mówię, bo to się na nic nie zda. O funkcjach i wzruszeniach, nie mających umysłowej treści, o indywidualnych przyjemnościach fizycznych, o poczuciach dźwięku, smaku i zapachu, nic znaczącego powiedzieć się nie da; można powiedzieć tylko: lubię, albo: nie lubię. O dźwiękach bowiem, tak jak o gustach i o kolorach, niema dyskusji.

— Ale o muzyce, jako o sztuce, dlaczegożby nie dyskutować? Pan może nie zna się na muzyce?

— Przynajmniej tyle, co inni. Ale muzyka jest tylko fragmentem sztuki, odłączonym od pierwotnego przeznaczenia, od poezji i od tańca, a rozdętym za naszych czasów do rozmiarów kolosalnej popularnej przyjemności, która ze sztuką bardzo niewiele ma wspólnego.

— Co pan powiada!?

— Daję wynik długiego i sumiennego namysłu.

Na kilku mniej lub więcej oburzonych wykrzyknikach przerwała się ta rozmowa. Wkrótce państwo Olescy pożegnali towarzystwo i opuścili hotel Kwirynału. Szczególnie Fabiusz złe wywarł wrażenie na pozostałych w sali. D'Anjorrant oświadczył:

— Rzeczywiście, ten wasz Rzymianin jest sztywny. Może to naprawdę jaki zgalwanizowany posąg z rodziny starożytnych Fabiuszów? Rodzina miała podobno niegdyś powodzenie. Dzisiaj taka toga pośród naszych fraków wygląda trochę nie na miejscu. Tych posągów wolę nie spotykać w salonach.

— To jest jednak człowiek z którym warto gadać — rzekł Słuszka.

— Może na powietrzu?

— Gdziekolwiek, ale kiedy się chce myśleć.

— Powiedz raczej: kiedy się jest młodym. Ja mam swoje przyzwyczajenia w myśleniu i w sposobie życia, przyzwyczajenia dostatecznie sformułowane.

Wypadkiem, Jerzy Dubieński nie podzielał też dzisiaj zdania margrabiego; nieśmiało bronił

Fabiusza, ale umilkł, gdy d'Anjorrant zwrócił rozmowę w sposób niespodziewany:

— Ten pan mało mnie obchodzi. Żal mi tylko pani Oleskiej, bardzo miłej kobiety, że zostaje pod wpływem swego zagadkowego kuzyna. Nieprawdaż, panie Dubieński?

Księżna Teresa znalazła się znowu w trudnem położeniu. Niedawno powołała Fabiusza do udziału w swojej siostrzanej misji; teraz ten wspólnik okazuje się niesympatycznym, nie dość dobrze wychowanym dziwakiem.

Wieczór dzisiejszy nie udawał się. Po paru sennych propozycjach na jutro, Schwind powstał i dość arbitralnie odezwał się:

— Panie są zmęczone i udadzą się zapewne na spoczynek, a my pójdziemy do klubu.

Kobryński się obudził i począł ruszać najeżonemi wąsami, d'Anjorrant zaś wstał, wyciągnął rękę do Westfalczyka i rzekł stanowczo:

— Schwind, jesteś odważny; nie zapierasz się swych przekonań.

Obie Amerykanki uznały postanowienie mężczyzn za normalne i zabrały się do odwrotu. Tylko księżna Kobryńska, mniej przekonana o potrzebie klubów, próbowała walczyć i zatrzymać mężczyzn przy sobie. Nie było jednak rady: Władzio już przyniósł płaszcz i kapelusz; inni też z męską stanowczością wybierali się do klubu. W hotelu pozostał tylko Jerzy, którego zaciągnięto do gry w ping-pong, rodzaj małego tennisa na bilardzie. Amerykanki grały w to oczywiście doskonale, Je-

rzy wprawił się szybko, a Terenia i z niezgrabności jeszcze wdzięk potrafiła wydobyć. Że pusto było w tym pokoju, wszyscy się rozhulali i spędzili dobrze resztę wieczoru na wytwornym sporcie. Rozeszli się około północy, powtarzając, że Rzym, to wesołe miasto.

XVII.

Parę dni potem umówiono się na obejrzenie Watykanu. Ale na schadzkę w hotelu Londyńskim stawili się tylko oprócz Fabiusza Dubieński i Słuszka. Po wczorajszym cudownym śpiewie Ciampiego w operze, panie były zmęczone i leniwsze niż zwykle, zaś d'Anjorrant'a i Kobryńskiego nie spodziewano się wcale. Fabiusz, zadowolony ze zmniejszenia liczby słuchaczów, wsiadł do powozu z panią Anną, a dwaj mężczyźni do drugiego. Jechali długo, gdyż konie rzymskich fiakrów są chyba najgorsze w Europie, ale przyjemnie, bo wiosna rzymska jest upajająca i rzeźwa, taka jak dawniej, gdy w niej budzili się wielcy ludzie Odrodzenia.

Pani Anna, która wczoraj była także na operze, przetarła rękawiczką sine pod oczyma obwódki i odezwała się do patrzącego na nią Fabiusza:

— Takam zmęczona dzisiaj, jak rzadko. Całą noc śniły mi się melodje, melodje bez końca.

— Nie trzeba, kochana pani, nadużywać zmysłowych przyjemności.

Pani Oleska wykonała pół obrotu na siedzeniu i spojrzała ze zdumieniem na towarzysza:

— Co to znaczy?...

— Mówię o muzyce.

— Znowu o niej?!... A dobrze, wytłumacz mi nareszcie gruntownie, co cierpisz do muzyki. Muzyka jest dla mnie największą, najmilszą sztuką.

— Najmilszą, na to się zgadzam. Wiem, że żadna inna sztuka nie zdoła dać narazie tyle rozkoszy.

— Jeżeli tak, to przyznajesz, że jest i największą, bo o cóż chodzi w sztuce, jeżeli nie o wrażenie?

— O wrażenie pewnego gatunku. Wstrząśnienie nerwów, choćby najrozkoszniejsze, nie jest jeszcze wrażeniem artystycznem. Ale ta dyskusja zaprowadziłaby nas daleko, bo najprzód porozumiećby się trzeba, czem jest sztuka.

— Sztuka?... tak naprędce... wogóle sztuka jest pięknem, wymyślonem przez ludzi.

— Wybornie. Skoro myśleć zaczniemy, pójdziemy razem, a mówiąc o sztuce, tworząc sztukę, odczuwając ją, niepodobna nie myśleć. Określenie twoje takbym dopełnił: sztuka jest zdolnością ludzką wydobywania piękna z życia i utrwalania go w osobnej, równoległej do życia, formie. Do tego potrzeba talentu i potężnego, wyrobionego umysłu.

— Przypuśćmy, że rozumiem. Ale cóż to określenie ubliża muzyce? Dlaczego muzyka jest niby niższą?

— Dlatego, że nie znaczy nic, nie da się określić jasną myślą ludzką, która stworzyła całą sztukę i tryska z niej w formie oddzielnej, wyszlachetnio-

nej. Wielka sztuka tworzy życie i przejmuje się znaczeniem życia, muzyka zaś tylko układa dźwięki i, wstrząsając nerwy, budzi zmysłowe nastroje. Z tych nastrojów dopiero może się urodzić coś umysłowo znaczącego, ale zarówno zbrodnia, jak bohaterstwo, zarówno szaleństwo, jak namysł i dzieło namysłu. Gdy nawet z zaczynu sonaty urodzi się wielkie dzieło sztuki, naprzykład poezji, to proces ten odbędzie się w duszy poety-słuchacza, nie kompozytora sonaty. Czy to leżało w muzyce? Nie. W muzyce nic nie leży prócz kombinacji dźwięków, a jeżeli wyraża ona coś myślowo określonego, to tylko najogólniejsze pojęcia, jak smutek, ochotę, gniew, prośbę. Kto się smuci, do czego ma ochotę, za co się gniewa, o co prosi, tego już wyrazić przez muzykę niepodobna, a cóż dopiero odtworzyć przez nią obraz życia i nad jego znaczeniem zastanowić słuchacza!

— Ach, mój drogi, całe światy widzi się przez muzykę, światy nieopisane, nienamalowane, niewyrzeźbione!

— Te same światy zobaczysz w sobie pod wpływem śpiewu słowika w noc księżycową, podczas gdy siano pachnie w łąkach.

— Ale zawsze będzie śpiew słowika.

— To głos przyrody, to nie sztuka.

— Więc dobrze. Niech sobie muzyka działa tak, jak piękna przyroda. Mnie właśnie najbardziej wzrusza piękna przyroda i muzyka.

— Dlatego jesteś dzieckiem swojej epoki sybarytycznej.

— Nie wstydzę się tego.

— A powinnabyś. Ja nie powstaję przeciwko urokowi przyrody, albo muzyki, odczuwam je w wysokim stopniu. Ale są to poczucia pierwotne, zmysłowe, na których poprzestają tylko ludy nawpół barbarzyńskie. Nas, synów tak starej cywilizacji, stać na wyższe wzloty ku pięknu. Do tych potrzeba natężonej myśli, potrzeba twórczej potęgi i kultury. Powrót zaś do barbarzyństwa w narodach cywilizowanych jest objawem choroby. Mówićby można długo...

— Mówmy, mówmy jeszcze. Wcale mnie nie przekonałeś. Zawołam sekundantów.

Przejechali Tyber przez most św. Anioła i wkrótce wysiedli przed dwuramienną kolumnadą świętego Piotra na Watykanie, wołającą ich w swe gmachy ogromne, pełne kapłańskiego dostojeństwa, królewskiego przepychu i artystycznych skarbów.

— Chodźcie tu, chodźcie! — wołała pani Oleska na młodych mężczyzn. — Fabiusz tak potępia naszą cywilizację, że płonę ze wstydu za siebie i za nią. Panie Słuszka! panie Dubieński! na pomoc!

— Ha! — zaśmiał się Słuszka — pan chodzi po Rzymie, jak święty Jan Chrzciciel. werbuje prozelitów, prostuje ścieżki Pańskie...

— Bodajby tak było! bodajby przyszło nowe Odrodzenie, bo żyjemy w niezdrowych ciemnościach! Ale przyjść musi.

— O co państwu chodziło, jeżeli zapytać wolno? — rzekł Jerzy.

— O muzykę! Fabiusz twierdzi, że muzyka jest zmysłowa, pierwotna, nawpół barbarzyńska, że jej rozwój dzisiejszy jest bardzo smutnym objawem... różne takie rzeczy.

Dubieński miał najlepsze wspomnienia z wczorajszej opery, do której zdołał zaprosić panią Annę za pośrednictwem swej siostry. Postanowił żarliwie bronić muzyki, którą i znał i lubił, tembardziej, że wrażliwość pani Oleskiej, podczas przedstawienia wydała mu się podniesioną i skierowaną na jego korzyść. Odezwał się do Fabiusza:

— Zauważyłem, że pan nie odwiedza opery.

— W Rzymie, panie! gdzie nawet dla mnie, który go znam dobrze, jest tyle jeszcze do obejrzenia skarbów mi nieznanych, gdzie wieczorami trzeba przecie coś przeczytać, jak tu znaleźć czas na operę? Mnie wielka sztuka pochłania.

— To pan muzykę uważa za małą sztukę?

— Przedewszystkiem za sztukę pomocniczą. Była nią zawsze i w tej roli ma doniosłość artystyczną i społeczną. Uprawiana od stu lat, jako sztuka samoistna, stała się groźną nietylko dla rozwoju innych sztuk, ale i dla naszych pojęć estetycznych, które doprawdy przedstawiają pomieszanie iście babilońskie.

— Ta teorja jest dla nas, muzykalnych, bardzo bolesna — odpowiedział Dubieński z grzeczną ironją.

— Pana mało ona dotycze, wkłada pan bowiem w muzykę część tylko swych zdolności i czasu. Jest pan poetą, to najwyższe powołanie w sztu-

ce. Miałem też sposobność przekonać się o pana wszechstronnem wykształceniu. Gdyby ogół, tak jak pan, sumę zapałów, jaką ma do wydania, rozkładał równomiernie na różne gatunki twórczości i wrażeń artystycznych, nie miałbym nic przeciwko muzyce. Ale muzyka pochłonęła całą niemal naszą wrażliwość artystyczną, podczas gdy powinnaby zajmować podrzędne miejsce. Tak było w epokach wielkiego rozkwitu sztuki. Tak było naprzykład w Atenach za Peryklesa.

— W Atenach?... Przecie Grecy mieli muzykę w wysokiem poszanowaniu. Tej ich muzyki znamy wprawdzie tylko drobne okruchy, niedawno odkryte. Ale cała historja sztuki greckiej świadczy o wielkiej roli muzyki w ich życiu duchowem. A czemże jest bajka o Orfeuszu? A dlaczegóż połowa muz greckich jest muzykalnych?

— Pozwoli pan sobie powiedzieć, że taka ocena mitologji greckiej jest zbyt powierzchowna. Ta mitologja jest najmądrzejszą ze znanych mi teoryj estetycznych.

— Ale dokąd my idziemy? — zapytał Słuszka.

Stali bowiem wszyscy około lewej fontanny, na środku placu, a rozmowa zanosiła się jeszcze na długo. Odezwała się pani Oleska:

— Wiecie co? siądźmy sobie w cieniu, pod portykiem, i rozmawiajmy.

— Tak na schodach? jak te fiakry? — zadziwił się Słuszka.

— Tak samo. Dlaczegoby nie? To będzie zabawne.

Fabiusz spojrzał z rozrzewnieniem na młodą kobietę:

— Pani Anna nie jest tylko muzykalna; ma w sobie zatajoną renesansową duszę. Ten pomysł mi ją objawił. Bo portyki te, w które Bernini włożył największe swe natchnienie artystyczne, a kilku papieży miljony skudów, zbudowane są dla ochrony od deszczu i słońca gości świętego Piotra, rozprawiających na placu. Powinniśmy tam wejść i usiąść na stopniach.

Wszyscy zgodzili się chętnie. Pani Oleska usiadła na wyższym stopniu, u nóg jej dwaj młodsi, Fabiusz nieco z boku. Dziwili się kolumnom, że takie wyniosłe, gdy się jest pod niemi, i uśmiechali się do siebie. A Fabiusz swobodnie, jakby tam zwykł siadać oddawna, zaczął mówić. Zbliżyło się kilku mężczyzn z ludu, przywykłych do popularnych wykładów pod gołem niebem, lecz, posłyszawszy obcą mowę, odeszło.

— Możemy pomówić o muzach; to nie będzie od rzeczy. Choć u Homera jest ich już dziewięć, są poszlaki, że jeszcze dawniej było ich trzy i wtedy, jak Gracje, przedstawiały przedewszystkiem wdzięk i piękno przyrody. To jest pierwszy stopień zapatrywania się społeczeństwa na piękno. Pani Anno! piję do ciebie.

— Tymczasem się poddaję, aby nie przerywać.

— Ale mówmy o muzach w epoce klasycznej, między V-ym a I-ym wiekiem, gdy te powabne, z pierwotnych trzech, grupy po trzy bez wyraźnych

patronatów, stają się dobremi naszemi znajomemi i rozdzielają między sobą przedstawicielstwo stosunków myśli do piękna życiowego. Pochodzą od matki Mnemozyny, czyli pamięci, zatem od myśli lub namysłu. Dwie najstarsze piastują naukę, bo i ta jest stosunkiem myśli ludzkiej do życia, a poniekąd i do piękna. Urania — bierze astronomję, a przez to samo nauki przyrodnicze i ich zastosowania; Klio — historję, to jest dzieje przeszłe i politykę, to jest dzieje bieżące.

— Przepraszam — rzekł Dubieński — ale czy pan nie trochę dowolnie dodaje zajęcia starym muzom?

— Wcale nie, rozwijam myśl grecką. Nie twierdzę, że za Peryklesa Urania była też muzą elektrotechniki, albo Klio — patronką dziennikarstwa, ale gdybyśmy jeszcze dzisiaj, jak należy, czcili muzy, obie te nauki nowe należałyby do ich wydziałów. Dalej — sześć sióstr przedstawia rozmaite odmiany poezji: Kaliope, Erato, Talia, Melpomena, Polihymnia i Euterpe. Wreszcie jedna, Terpsychora, jest patronką sztuki zmysłowej, choregicznego tańca, nie tego bezmyślnego tańca naszych czasów, lecz pięknie ułożonych pochodów, rzeźbionych układów ciała, zatem i sztuki plastycznej, do której dostarcza żywych wzorów.

— Widocznie znasz lepiej muzy, niż ja — odezwała się pani Oleska — ale uczyłam się przecie, że Polihymnia była muzą muzyki.

— Chóralnego śpiewu, ale ten był poezją, tak, jak śpiew liryczny, uosobiony przez Erato, był też

poezją, jak epicka Kaliope była również muzykalna. Wszystkie muzy, oprócz Uranji i Klio, są muzykalne i noszą atrybuty muzyczne, ale to właśnie dowodzi, że osobnej patronki muzyki nie było. Cóż znaczy zresztą samo słowo: muzyka? Jest to przymiotnik od greckiego „Muse“. W tłumaczeniu brzmiałoby: należna do muz, stosująca się do sztuki funkcja lub ozdoba. Muzyka była też nie czem innem wówczas, tylko deklamacją śpiewną, sposobem podniesienia rytmu i uroku poezji, albo miarowym pobrzękiem choregicznego tańca.

— Możnaby to wytłumaczyć inaczej—odezwał się Dubieński. — Muzykalność wszystkich niemal muz w tej odległej epoce, narzędzia muzyczne, spotykane w ich ręku, świadczyłyby o pochodzeniu ich wszystkich od muzyki w epoce jeszcze odleglejszej. A wtedy sztuka ta, której znaczenie chce pan obniżyć, byłaby matką wszystkich innych sztuk pięknych.

— O to spierać się nie będę, czy na początku było wrażenie dźwięku, czy słowa, czy kształtu, czy barwy, bo tak postawićby wypadło dyskusję. Zabłąkalibyśmy się w hipotezach. Mówimy o roli muzyki w okresie historycznym, o jej wartości w historji naszej cywilizacji. Dopóki była sztuką pomocniczą i podrzędną, położyła znaczne zasługi, weszła np. w budowę wiersza i jest nieodłączna od wiązanej, a raczej rozśpiewanej mowy — to już niemały tytuł do poszanowania. Ale obecnie stała się sztuką samoistną i ulubienicą publiczności. W tej fazie obniża poziom pojęć estetycznych.

— Dlaczego? Rozszerza owszem skalę tych pojęć. Dlaczego? — zawołali wszyscy słuchacze.

— Dlatego, że wrażenie estetyczne jest połączeniem poczuć zmysłowych z odkryciami w dziedzinie intelektu. Muzyka zaś daje same tylko poczucia zmysłowe, działa jedynie na nerwy.

— Nie wiem, czem się różnią poczucia zmysłowe od umysłowych — rzekł Dubieński. — Wszelakiego rodzaju wstrząśnienia otrzymuje człowiek przez zmysły i nerwy.

— Musi pan jednak przyznać, że poczucia wyrozumowane, jak np. miłość ojczyzny, różnią się djametralnie od poczuć przyrodzonych, jak np. wrażenie zapachu. Miłość ojczyzny nazywam uczuciem, a wrażenie zapachu poczuciem, i stawiam te oba wrażenia na przeciwległych biegunach, choćby miały być połączone nieprzerwanym, stopniowo modyfikującym się łańcuchem. Muzyka daje nam same poczucia zmysłowe, których mieszać nie należy z uczuciami, mogącemi przez zaczyn muzyczny w danym osobniku wyniknąć. Do odczuwania, nawet do tworzenia muzyki nie potrzeba wielkiej duszy.

Wszyscy słuchacze zaprzeczyli, z niejakiem nawet oburzeniem. Zarzucono Oleskiego nazwiskami wielu kompozytorów, a przedewszystkiem Wagnera.

— Proszę odłączyć Wagnera-kompozytora od Wagnera-poety, miernego zresztą poety. Jego libretta mogłyby być jeszcze lepsze i oryginalniejsze, ale zwiększyłyby wówczas tylko jego zasługę lite-

racką, nie muzyczną. Ja zaś mówię dzisiaj o twórczości i wrażliwości czysto muzycznej i twierdzę, że bardzo małe dusze są zdolne do produkowania dobrej muzyki. Przypominam wam np. cudowne dzieci, które tylko w zakresie muzyki są zupełnymi artystami, w zakresie zaś innych sztuk dopiero obiecują, bo żeby dojść do pełni rozwoju talentu, potrzebują uniwersalnej kultury.

— Przyznam się — rzekł Dubieński — że nie trafia mi do przekonania podział dusz na wielkie i małe. Z pewnego punktu widzenia największemi można nazwać te właśnie, które tworzą muzykę.

— Nazwać można — odparł Fabiusz — ale będzie to wbrew wszystkim naszym pojęciom o szlachetności duszy ludzkiej. Muzykalne są nawet zwierzęta i nietylko wrażliwe na muzykę; ujawniają owszem pewną dążność do kompozycji. Na inne sztuki piękne: malarstwo, rzeźbę, architekturę, nie mówiąc już o poezji, zwierzęta nieczułe są zupełnie.

— A ptaki, które przyleciały dziobać winogrona Apellesa? — podchwyciła pani Oleska.

— Uległy optycznemu złudzeniu. Ale nigdy nie widziano wróbli, wzruszonych z podziwu przed obrazem. Żadnych też śladów twórczości artystycznej, oprócz muzykalnej, nie odnajdujemy u zwierząt. Kunsztowne budowanie mieszkań przez pszczoły albo termity nie wykracza niczem poza rzemiosło: nie objawia dążności do symetrji ogólnej, ani do ozdoby symbolicznej, nie wchodzi więc wcale w dziedzinę architektury, jako sztuki.

— Rozumuje pan ściśle, ale nieco arbitralnie — rzekł Dubieński. — Niech sobie muzyka będzie sztuką pomocniczą, zmysłową, odczuwaną przez zwierzęta, ale my, ludzie, doprowadziliśmy ją do takiej doskonałości, że możemy przez nią wyrazić, jeżeli nie myśli określone, to najsubtelniejsze stany duszy.

— Stany nerwów — poprawił Fabiusz.

— Stany... czegoś, co jednak jest w nas, a inaczej w sztuce wyrazić się nie da, tylko przez muzykę. Muzyka jest naprzykład najwymowniejszą ze sztuk pięknych, gdy chodzi o wyrażenie miłości. Jak się miłość wyraża przez rzeźbę, albo przez architekturę? Proszę mi powiedzieć.

— Prawda. Trudno, żeby portyk powiedział: kocham! — wtrąciła pani Oleska z dźwięcznym wybuchem śmiechu.

— Chyba przez echo — odrzekł Dubieński i zajrzał jej prosto w oczy.

Fabiusz zerwał się ze swego miejsca, rozkrzyżował szeroko ramiona, jakby na podobieństwo tych ramion Piotrowych, w których cieniu siedzieli, i zawołał:

— Jakto? portyk nie może powiedzieć: kocham?! A cóż mówią te portyki?!

Wyglądał gniewny i natchniony. Inni spojrzeli na niego ze zdziwieniem, ale on sam poczuł niewczesną nagłość swego zapału i rzekł spokojnie, trochę gorzko:

— Inną wprawdzie miłość wyrażają one, niż wasza muzyka, miłosna pośredniczka niższego gatunku. Nazwałbym ją...

— Niech pan nie nazywa, rozumiemy — zawołał Słuszka.

Fabiusz sposępniał na chwilę, ale zaraz głowę podniósł i rzekł:

— Ażeby się tylko porozumieć, trzebaby długich jeszcze wywodów teorji. Dość ich na teraz, nieprawdaż? Potrzeba nam wrażeń. A żeśmy się już dzisiaj poświęcili wrażeniom artystycznym, proszę za mną.

Przeprowadził swych uczniów na drugą stronę placu i wszedł z nimi pod przeciwległy portyk. Szli długo po „królewskich schodach“, aż zatrzymali się u filaru z napisem: „Do kaplicy Sykstyńskiej“. Fabiusz przeszedł prędko przez „capella Paolina“ i „Sala reggia“, nie chcąc dawać towarzystwu żadnych wrażeń przed jednem, do którego ich prowadził.

Stanęli we środku kaplicy Sykstyńskiej, dość pustej tego dnia i dość jasnej.

— Panowie ją znacie?

Mężczyźni odpowiedzieli, że znają, ale pani Anna była tu po raz pierwszy i zawołała:

— Jak tu pięknie!

— Proszę nie zanadto rozglądać się. Całości dzisiaj nie obejmiemy. Ale wpatrzmy się w sufit wyłączony przez Michała-Anioła. Co cię w nim narazie uderza?

— Nie wiem, gdzie się kończy architektura, a gdzie zaczyna malowanie.

— Niema architektury. Wszystkie gzymsy, kapitele, cokóły, na których siedzą i klęczą te bliż-

sze niby nam postacie, są malowane na gładkiem sklepieniu, tak zwanem zwierciadlanem. To pierwszy triumf mistrza w twojem wrażeniu. Ale to dopiero nadzwyczajna biegłość techniczna i znajomość perspektywy plafonowej. To potrafi lada Tiepolo. Wchodzimy zaledwie w podwoje największego na świecie dzieła sztuki plastycznej... Cóż dalej powiesz? ale szczerze, bez komplimentów dla Michała-Anioła?

— Właśnie myślałam, że to wszystko blade, popękane, zapewne bardzo popsute...

— Słusznie. Najprzód Michał-Anioł nie był kolorystą, inaczej byłby chyba został półbogiem, powtóre barwy zanikły prawie na suficie. Mamy więc do czynienia tylko z rysunkiem i kompozycją. Ale to nam wystarczy. Ta więc architektura wypiętrzona w powietrzu, podtrzymywana przez karjatydy bronzowe, po której gzymsach rozsiadły się te straszne, zmysłowe, zbrodnicze postacie niewolników czy potępieńców, otwiera się dziewięciu niby oknami na błękit nieba, w którem dzieje się historja świata aż do potopu, owa historja święta, symboliczna, pełna mądrości i piękna. Sztuka plastyczna nigdy wyżej się nie wzniosła w odtworzeniu i pojęciu tych scen, które tylko dzieciom wydają się dziecinnemi.

Fabiusz przeprowadził swych towarzyszów wzdłuż sali, pokazując kolejno dziewięć obrazów sufitowych, potem sześciu Proroków i sześć Sybilli na wklęsłych fasetach sklepienia, rozmyślających nad dziejami świata i ich odrodzeniem przez Chry-

stusa. Zwrócił uwagę i na sceny w narożnych trójkątach sklepienia, gdzie mistrz przedstawił przodków Zbawiciela.

— Poznaliście więc państwo myśl jasną, przewodnią myśl Chrześcijaństwa. Historja świata w najwyższych jej momentach, oczekiwanie Zbawiciela, którego przepowiedzieli Prorocy, przewidziały nawet Sybille. Czy ta myśl, poznana przez was, nie nabiera osobnego wdzięku i majestatu przez to wspaniałe wcielenie plastyczne?

Słuchacze potakiwali poważnie głowami.

— Powróćmy do pierwszych obrazów, aby zobaczyć inne bogactwa duszy mistrza. Patrzcie, jak osobiście i niezależnie pojął świętą legendę stworzenia świata. Obrazy nie odpowiadają nawet sześciu dniom biblijnym, chociaż nie naruszają w niczem tradycyjnego tekstu. Co ten człowiek musiał czuć i umieć, aby namalować choćby te pięć obrazów stworzenia! Jakie studja anatomji, rzeźby starożytnej przejść musiał, aby dojść do tych lotów porywających ciężkie postacie, do tych skrótów tak łudzących, że ciała obracają się w oczach widza, przechodzącego z miejsca na miejsce! Jak umiał połączyć Jowiszową grozę z genjalnym namysłem i potęgą twórczą w twarzy Boga-Stworzyciela! Korzystał ze wszystkich tradycyj nauki i sztuki, a wetchnął w nie nowego ducha, wcielił je w dzieło swoje i niebywałe.

— Co za wiatr tam wieje ponad architekturą sufitu! — odezwała się pani Oleska.

— Przedwieczny wiatr, wir, chaos szamocze szaty na Stworzycielu, który tam pływa mocą własną w przestrzeni, samotny najprzód, dzieląc wielkim ruchem obu ramion światłość od ciemności, potem oparty na mocach przez się stworzonych, rzuca wszechmocnym nakazem ciała niebieskie w ich orbity, dalej dłonią miększą, opuszczoną, rozsiewa rośliny po ziemi, to znowu błogosławiąc oburącz, unosi się nad wodami... Patrzcie, jak wicher, sprawiony przez potężne obroty Stwórcy, uśmierza się stopniowo w każdym linijnym obrazie, w miarę jak składa się dzieło. Tu jeszcze targa włosy i szaty i nieopisaną grozą przejmuje skulone postacie, siedzące u ram okiennych, ponad któremi dzieją się sprawy twórcze; tu już wieje równiej, spokojniej i postać Boga, otoczona siedmiu mocami, płynie, niby życiodajna chmura, ku dziełu największemu, ku stworzeniu człowieka.

— To najpiękniejsze! — zawołała pani Oleska.

— Tak. Tutaj mistrz wysilił swą wielką duszę na podobieństwo przedwiecznego Stwórcy. Zauważcie, że pominął realistyczną przenośnię biblijną o ulepieniu człowieka z gliny i ożywieniu go tchnieniem Bożem. W innej serji wrażeń, w innym stylu kompozycji przenośnia ta byłaby równie piękna; tutaj zmyliłaby kierunek naszej wyobraźni. Michał-Anioł obiera inną formę, znaczącą myślowo to samo, i jedną chwilę, jak przystało malarzowi, najbardziej stanowczą, najpełniejszą plastycznego znaczenia, chwilę ostatnią powołania człowieka do ży-

cia. Na szczycie góry, wysoko podchodzącej pod horyzont, leży Adam, wpół powstając ze snu przedbytowego; jego wspaniałe kształty, idealnie do życia gotowe, zmaga jeszcze sen; tylko rękę, opartą na zgiętem kolanie, wyciąga wpół-omdloną i oczy tęskne, modlące się, kieruje ku zjawisku. Bo oto Bóg-Stwórca, zebrawszy w płaszcz tęczowo rozwiany swe moce, spływa zgóry ku niemu. Widać, jak ta grupa zwrotną zawieruchą przechodzi od rozpędu do zwolnionego lotu i zbliża się, zbliża ku ziemi?...

— Widać. Nie może być omyłki.

— Ten sam Bóg-Stwórca, który tam rozdzierał gestem ciemności i miotał w przestrzeń swe piorunowe rozkazy i ważył się nad wodami w swym potężnym namyśle. Ale tu, jaki uspokojony tworzeniem, które uznał za dobre! jak opiera się łaskawie na otaczających go tworach własnych! jaką niezmierną dobrocią tchnie ta głowa, nachylona ku dziełu ostatniemu, ku człowiekowi!... Bóg-Ojciec!... Patrzcie, teraz — jest to chwila cudu: Ojciec wyciągnął prawicę, stanowczo twórczą prawicę ku mdłej ręce syna, powstającego z ziemi. Młode moce, zagarnięte płaszczem Stworzyciela, zwracają głowy w stronę człowieka, szepczą, że coś wielkiego się dzieje... Smukła anielica, na której spoczywa lewe ramie Stwórcy, spogląda na Adama płomiennemi oczyma, olśniona... może pierwowzór kobiety, może arcywzory przyszłych pokoleń?... I palec wskazujący Boga, energiczny, już, już dotyka sennej ręki człowieka... Stało się! duch Boży

wstępuje w Adama, między Stwórcą a stworzeniem błysła iskra życia! Czyście ją widzieli?

— Widzimy — odpowiedziały chórem trzy głosy.

Fabiusz przetarł czoło, zmarszczył i rozmarszczył kilka razy brwi wyraziste, jakby chciał odegnać zbyteczny nawał myśli. Potem zapytał:

— Chyba dosyć na dzisiaj?

Pani Oleska i dwaj mężczyźni ścisnęli mu rękę, milcząc. Również w milczeniu wyszli z kaplicy i odbyli drogę powrotną na plac świętego Piotra. Dopiero tam odezwał się Fabiusz:

— Wracamy do portyków, które wysłuchały naszej dyskusji. Chciałbym, aby posłyszały jeszcze jedno. Powiedzcie mi państwo, czy ta potęga myśli, te skarby wiedzy, któreśmy dopiero co podziwiali w dziele malarza, dadzą się choć w części ujawnić przez muzykę? Niech mi to kto spróbuje zagrać.

Dubieński zaryzykował jeszcze opozycję:

— Gdyby pan był tak muzykalny, jak jest artystą i znawcą sztuki plastycznej, samby pan to zagrał.

— Nigdy! — odparł Fabiusz, trzęsąc energicznie głową — gdybym był nawet Michałem-Aniołem i Wagnerem w jednej osobie. Na coby mi się zdała historjozofja, studja anatomiczne, studja rzeźby i architektury, genialna egzegetyka starych tekstów, znajomość życia i ludzi? Do mojej opery lub symfonji użyłbym tylko z mych skarbów umysłowych: znajomości kontrapunktu i harmonji, coby w dziele

Michała-Anioła można porównać do jego wiadomości z perspektywy wykreślnej. Możeby zresztą ogólna kultura przydała mi się pośrednio? Człowiek, który wiele myślał i żył, nabiera i rozmaitych nerwowych subtelności. Więc naprzykład znajomość nerwów własnych i nerwów słuchaczów przydałaby mi się do kompozycji. Ale duszy i myśli nie wypowiedziałbym w muzyce, bo to niepodobieństwo. Muzyka jest zbyt zacieśniona w swym zakresie poczuć zmysłowych, dźwięcznych; nie posiada na to sposobów.

— Dziwi mię jednak — próbował bronić się jeszcze Dubieński — że pan, który tak rozumie inne sztuki piękne, nie rozumie muzyki.

— Nikt jej nie rozumie, kochany panie. Można ją tylko lubić. Kochać ją wyłącznie jest już niebezpieczeństwem.

XVIII.

Innego dnia liczniejsze towarzystwo szło za Fabiuszem wolno pod górę, złożoną, zdawałoby się, z samych budowli, przywalających świeższemi ogromami starsze ogromy, której górze na imię jest Palatyn. Pałace Cezarów splotły się zwaliskami w jeden pomnik i pachną krwawą historją.

Kobiety szły ostrożnie po zrujnowanych posadzkach, pod sterczącemi ułamkami łuków sklepiennych i przez mroczne korytarze.

— Na tem załamaniu korytarza Kaligula, uciekając przed zabójcami, został ujęty i zamordowany...

Księżna Kobryńska wydała maleńki okrzyk na znak wrażliwości, ale opanowała się i rzekła:

— Taki potwór nie był godzien lepszego losu.

— A lady Cosway:

— Czy tu? na tem miejscu?

— Mniej więcej.

Amerykanka wydrapała kamyczek ze starego tynku, schowała go do kieszeni i z zadowoleniem strzepnęła rękawiczki.

Książę Kobryński spojrzał na mur, zamyślony:

— Otrzeć się, czy się nie otrzeć? A gdyby to przyniosło wenę?...

Fabiusz szedł na czele, mniej wymowny dzisiaj, gdyż trudno było nieprzygotowanym wcale słuchaczom dać choćby pobieżne pojęcie o najbardziej zagmatwanym pomniku starej Romy. Spuścił więc z tonu i czując się zwyczajnym pokazywaczem ciekawości, był z siebie i z towarzystwa miernie zadowolony. Przeszkadzano mu przytem ciągle. Słuszka był w jowialnym humorze i dodawał swój lekki komentarz do wykładu Fabiusza:

— Moi kochani! Gdybym miał mniej do roboty w życiu bieżącem, przestudjowałbym te ruiny i dowiódłbym, że nawet Cezarowie nie mieli pojęcia o komforcie. Jak mieszkali naprzykład? Jak największe mrówki pośród mniejszych mrówek. Cóż to za rozkład pokojów?! Gdzież ubieralnie, gdzież łazienki?

— Jeżeli o to chodzi — odpowiedział Fabiusz — kąpiele rzymskie były większe, wytworniejsze i liczniejsze, niż za naszych czasów, a żadne miasto nowoczesne nie posiada tyle wody, ile jej miał Rzym starożytny. Rzym dzisiejszy posługuje się trzecią częścią tych wielkich wód, które płukały sztucznie starą Romę; niektóre akwedukty Cezarów jeszcze są czynne...

— Więc dobrze... Ale jak było z oświetleniem?... Przecie to komórki albo piwnice, nie pokoje!

— Rzymianie przebywali więcej na powietrzu: czuwali w dzień, a spali w nocy, życie ich nie płynęło naopak i naprzekór warunkom przyrodzonym.

— Bah! dla nas nie wystarcza dnia.

Fabiusz już nie odpowiedział i pozwolił Słuszce dalej perorować.

Na domiar niepowodzenia, w malowniczym zakatku spotkano Zakopiańskiego, przybranego w płaszcz włoski, przerzucony przez ramię.

— Cóż to za maskarada? — zapytało naraz parę osób.

— Stosuję się do ruin. Nie chcę drażnić ech, drzemiących pod temi sklepieniami.

— Ale echa nie widzą — zauważył Słuszka.

— Echa czują — odrzekł Zakopiański.

Daliby mu pokój, gdyby nie przyczepił się do Fabiusza.

— Chodzimy tu jak mądre cienie po cmentarzach sprofanowanych. Nieprawdaż, mistrzu?

— Nieprawda, panie.

— Dlaczego?

— Ja mam inne wrażenie.

— A ja właśnie takie.

— Zostańmy zatem każdy przy swojem.

Fabiusz rzadko bywał opryskliwy. Zakopiański odsunął się na flank orszaku, szukając u pań współczucia dla swych pomysłów stylowych.

Opóźniona nieco za innymi szła pani Oleska, słuchając przyciszonej mowy Dubieńskiego.

— Dobre to wszystko: i erudycja, i odtwarzanie dawnego życia, i nauka, mogąca wypłynąć z porównań, ale czemże to dla nas, młodych, wobec jednego taktu, wybitego przez krew krążącą w żyłach teraz, właśnie w tej chwili? W życiu, którem żyjemy, jest źródło szczęścia i niedoli, temat do najgłębszych namysłów. Czy tak, pani?

— Życie nowoczesne jest marne i my podlegamy tej miernocie otaczającej — odpowiedziała Anna z obcą jakąś powagą.

— Dlaczego marne?... To chyba pani przyzna, że formy życia naszej epoki są bogato rozwinięte. W tych formach mamy wybór, a ostatecznie każdy swoją dolę sobie stwarza, albo raczej: każda para ludzi stwarza sobie życie, według złączonych swych upodobań.

— To inna materja. Ja mówię o życiu ogółu.

— A jednak życie ogółu składa się z uderzeń serc pojedyńczych ludzi. Nie dochodzi się zaś do wyższego zrozumienia siebie i swojej epoki inaczej, jak we dwoje. Parzystość jest przeznaczeniem ludzkości.

— Wątpliwa teorja... a może być?

Śmiech, tak zwykle skory na zawołanie, uwiązł w suchem gardle Anny. Szła wyprostowana, zarumieniona, nie patrząc na Jerzego, lecz uporczywie przed siebie. Dubieński poczuł jednak, że panuje magnetycznie nad całą jej postacią. Mówił więc dalej:

— I wierzę w to, że gdy dwoje ludzi, mogących stworzyć ową spójnię rozkoszną i mądrą, spotyka się z sobą, oboje czują to powołanie swoje wzajemnie, a jeżeli bronią się od niego, jeżeli nie dochodzą do porozumienia, do... uścisku, w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, to popełniają grzech przeciwko życiu, które ich woła.

— Pan jest fatalistą?

— Nie wiem, do jakiej należę szkoły... może do żadnej. Ale mam o świecie różne swe pojęcia, których nie ogłaszałem nikomu. Tylko teraz czuję straszną chęć zwierzenia się pani, dlatego, że nie spotkałem w życiu kobiety równie... cennej dla mnie.

Pani Oleska, ciągle patrząc przed siebie, podniosła brwi i zesztywniała, jakby gotując się do odparcia napaści.

— Pani nawet nie jest już dla mnie piękną...

— Taak? — odrzekła machinalnie Anna, zwracając nareszcie oczy na Jerzego, oczy tak zawiedzione, tak szczerze piękne, że zwykły djalektyk zmieszałby się i cofnął.

Ale Dubieński spojrzał tylko na nią z poważnem uwielbieniem i nie cofnął się pozornie.

— Nie jest pani tą piękną, którą spotykałem dawniej, myśląc: nie można lepiej wyglądać, nie można ślieczniej chodzić, mówić, uśmiechać się. Jest pani tą jedyną, której obrazu już się nie widzi, bo się go ciągle nosi w sobie, tym losem raz tylko spotykanym na ziemi, tem najcenniejszem, o czem mówiliśmy — tem Życiem...

Nie zmienił postawy, postępując wolno za innymi; tylko głos jego, choć przyciszony, zagrał i odbił się ciepłem echem o niskie sklepienie, pod którem całe towarzystwo przechodziło. Nikt jednak, oprócz Anny, nie wyłowił z ogólnego gwaru tego wyższego tonu.

A ona nie znalazła na odpowiedź ani słowa. Wzdrygnęła się tylko widocznie, aż Jerzy, śledzący jej każdy ruch, nie zrozumiał odrazu.

Wychodzili właśnie z długiego podziemnego przejścia na światło.

— Czy zimno pani?

— Trochę tu chłodno.

— Ale nie ja byłem przyczyną?...

— O nie!

Szybko, przed namysłem, wyciągnęła lewą dłoń ku Jerzemu, a ten ujął jej rękę, objął wzrokiem całą jej postać, wzrokiem ucałował, przymknął wreszcie powieki i zęby zacisnął, tłumiąc przemożny napływ wyznań, niemożliwych na tem miejscu.

— Wchodzimy do domu Liwii — odezwał się głośniej Fabiusz, odwracając się do towarzystwa,

które poprzedzał, i szukając ze zwyczaju oczu pani Oleskiej.

Ona zaś, zanim spojrzał na nią stary przyjaciel, uniknęła jego wzroku, strzepując pilnie z rękawa sukni pył, którego nie było. Poczem wyprzedziła parę osób i znalazła się obok Fabiusza, pokazującego ciekawe szczątki fresków w domu Liwii.

Ten manewr Jerzy słusznie poczytał za pierwszy swój prawdziwy triumf, i serce mu zabiło gorącą radością.

W słońcu było parno. Czarna chmura wschodziła szybko ponad szczyt Palatynu, i zanim jeszcze przykryła słońce, prysnęły pierwsze krople nagłej ulewy.

— Deszcz, deszcz! — zawołały panie, otwierając jasne parasolki, po których zabębniły szeroko plamiące bryzgi

— Wracajmy pod sklepienia Kaliguli.

— Nie, tam zimno i ciemno, lepiej pod dęby na górze!

— Pod dęby!

Wszyscy puścili się pędem na szczyt wzgórza, gdzie czarne dęby dały im pod zwartemi konarami schronienie prawie nieprzepuszczalne.

A wesoły szum ciepłej ulewy zbliżał się; pół miasta objęła zasłona mglista, przetkana potrójną tęczą; druga połowa kąpała się jeszcze w słońcu. Już cień ogarnął Kapitol, a jeszcze kolumny stoją w czystem przezroczu na Forum; już plamić się zaczynają posadzki zwalisk i brukowce na *via sacra*...

— Teraz na nas kolej, trzymajmy się!

Całe grono znajomych zbiło się w małą kupkę pod najbogatszem w liście drzewem, z podnieconym chichotem i wielkiemi gestami, grając komedję popłochu. Przycichli, gdy ulewa doszła zenitu i sprała cały wierzch wzgórza, aż strumyki zaczęły podpływać pod nogi. Jednak masa liści nie dopuściła deszczu, który na szczęście trwał krótko i przenosił się gwałtownie po niebie pośród ciągłych tęcz i przebłysków słońca.

— Poczciwe dęby! — wołał Słuszka. — Wiedziałem o ich istnieniu i przyprowadziłem was tutaj. Nie mogę powiedzieć, żem je tutaj umyślnie dla was posadził, byłoby to przesadą, ale wiedziałem, że będzie deszcz, że tu się schronimy. Ja wszystko wiem. Sprowadziłem wam też różnobarwną tęczę, która jest, według mitologji, podwiązką Wenery. Prawda, panie Fabiuszu? Stąd wnosić możecie o wspaniałości bogiń rzymskich, które takie miały podwiązki.

Dał się słyszeć grzmot.

— Bogowie upominają się o lekceważenie Irydy, która jest ich posłanniczką — wtrącił wesoło Fabiusz.

— Może być — odparł Słuszka: — tutaj, pośród starej Romy, niema co żartować z bogami.

Tymczasem deszcz przeleciał i był już daleko poza Colosseum. Jak z pod stopniowo uchylanej zasłony wydobywał się stary gród połamany i nowsze porosłe na nim miasto. W świeżej, słonecznej rosie barwy odmłodniały, z ziemi wstawał lekki opar,

zaprawny woniami. W kilka minut było już sucho, między bujną roślinnością zdobiącą szczyt Palatynu zaczęły brzęczeć żuki i komary, zakołysały się pijane od zapachów motyle.

Nagle ucichli wszyscy, odurzeni dobrobytem i spokojem. W ciszy dziwnie zabrzmiał głos pani Anny:

— A tym bezmyślnym motylom jeszcze tu lepiej, niż nam...

Z kurzawy jej myśli jedna znalazła sobie ujście i wyraz.

XIX.

Pośród tych wędrówek, albo w teatrze, albo w salach restauracyjnych, Jerzy zamienił już z Anną kilka słów, nie obowiązujących ostatecznie do niczego, jednak takich, które wymagały dalszego ciągu i objaśnień. Dowiedzieli się oboje o wzajemnych swych uczuciach, ale ta świadomość, choć rozkoszna, nie dawała im spokoju, ani szczęścia. Owszem, tak jej, jak i jemu stawała przed oczyma konieczność przyznania się przed własnem sumieniem, czego właściwie pragną, dokąd zmierzają. Oboje, choć niby wolni, byli zawikłani w stosunki, które trzeba było zmodyfikować, lub poświęcić; w wątpliwości, które wypadało usunąć. Za młodu zaś i na wiosnę najmniej się miewa czasu na obrachunki z sumieniem.

Coraz widoczniejsze zabiegi Jerzego Anna przyjmowała teraz ze wzruszeniem. Nie było po-

wodu odrzucać jego wyznań. Widocznie stara się o jej rękę, a gdyby został jej mężem, byłoby to ze wszech miar normalne i przyjemne. Jednak przezorny instykt kobiecy, ten dar przewyższający często w wynikach męską logikę, mówił Annie, że bronić się trzeba, i to nie przez zalotność, lecz przez ostrożność. W tym Dubieńskim, który ma dużo powabów, a wady tak sympatyczne, — naprzykład, ma nadto szczęścia do kobiet, ale zmonopolizować takiego mężczyznę dla siebie jest zadaniem ponętnem, — w tym Dubieńskim są nieodgadnione głębie, wymagające prześwietlenia. Jego konkury, choć coraz bardziej stanowcze i szczere, są jednak nadzwyczaj ostrożne, osłonione czemś mglistem, co nie jest ani nieśmiałością, ani poezją... Czem zatem?...

Ponieważ jednak znała wartość swej urody i wdzięku, ponieważ ufała także swej przenikliwości i niejakiemu doświadczeniu życiowemu, pani Anna nie wątpiła, że zupełnie odgadnie Jerzego. Nawet to studjum coraz bardziej ją roznamiętniało. Inny zaś wzgląd stawał w sprzeczności z tem pożądaniem, wzgląd na Fabiusza.

Kim on był i jest dla niej, to wiedziała: kierownikiem jej umysłu, najszlachetniejszym przyjacielem, może nawet bardzo przywiązanym do niej. Ale kim chce zostać? Dlaczego dotychczas nie powiedział jej wyraźnie, że pragnie nietylko jej przyjaźni?... Dlaczego nie oświadczył się poprostu, zwłaszcza teraz, gdy zapewne spostrzega zabiegi innego mężczyzny?

Przez te rozumowania proste i uczciwe przeciągał jeszcze jeden mniej uświadomiony prąd: pospolity, ale nieśmiertelny powiew młodości i wiosny, zabronione przepisami, ale nakazane przez życie pragnienie szczęścia dla siebie. Więc gdy pola fiołków pachnęły pod Nizzą, gdy włoska muzyka ogarniała ciepłym strumieniem jej zmysły, gdy Jerzy mówił jedynie dla niej w jakimś rzymskim poetycznym zakątku, Anna czuła, że krew lekko i rozkosznie przepływa jej przez serce, a wtedy nie rozumowała, tylko żyła raźniej, rozkwitała jak kwiat w swojej porze, naturalnie, przekonana, że jej się to słusznie należy od losu. I pogrążała się coraz bardziej w ten rozczyn galwaniczny, w którym zasady kobiece, chociażby czystem były złotem, rozpuszczają się i osiadają na przedmioty stałe, umyślnie lub przypadkowo znajdujące się w tym samym rozczynie. Tymczasem jednak rozumowania jej i pragnienia, zasady i porywy, równoważyły się w jej uczciwem i gorącem sercu.

Jerzy miał pozornie dużo prostszy przed sobą kierunek, nie wystawiający go na sprzeczność z samym sobą. Kochał i ufał, że pokochany zostanie; każdy dzień dodawał mu ufności. Przeszkody do urzeczywistnienia pragnień istniały w trudnościach podboju; te trudności nie były nadludzkie, coraz się zmniejszały; za kilka dni, za parę tygodni mógł poprosić o rękę pani Oleskiej i zapewne ją otrzymać. Mógł nawet nie obawiać się współzawodnictwa Fabiusza, bo teraz był już przekonany, że Fabiusz jest dumnym, a zarazem nieśmiałym wiel-

bicielem Anny, że nie przeszkodzi jej wyborowi dla swoich osobistych widoków.

A jednak młody Dubieński nie był w zupełnej zgodzie z samym sobą. Nagle pośród najgorętszych zabiegów o tę kobietę nową, bardziej upragnioną, niż inne, poczęły mu snuć się po głowie wspomnienia nauk i zasad rodzicielskich, tych samych znienawidzonych „zasad“, które go wypędziły z gniazda. Zaczął rozpatrywać uważnie, czy pani Oleska, gdyby zmieniła swoje na jego nazwisko, odpowiedziałaby ideałowi żony, uświęconemu przez tradycje Chojnogórskie? Czy jest dość bogata? dość wysokiego pochodzenia?... Czy należy do tego nieokreślonego „koła“, w którego samym środku, z Bożej łaski, znajdują się Dubieńscy?

Co za dziwaczne myśli! Przecie on sam, Jerzy, wyzwolił się od wszelkich formuł cudzego wyrobu i użytku. Nie może być, aby takie cienie zwalczonych już, urojonych zresztą, przeszkód, stawały mu wpoprzek drogi?... Są to fałszywe rozumowania, jakieś niefilozoficzne skrupuły, którym on się nie podda. Zaczął badać się w innym kierunku, aby wytłumaczyć sobie pewien dreszcz, który go mimowolnie coraz częściej nawiedzał. I znalazł. On, jako artysta, człowiek przeznaczony do wyższych celów, rzucony w świat na wielkie burze i szczytne wzloty, poświęcony na ofiary, na całopalenia...

— To wyraz niedobry — pomyślał Jerzy nawiasem, przypomniał bowiem ofiary starożytne, bydło i ptaki zarzynane na ołtarzach bogów.

Jednem słowem: on, jako... on, nie zdawał się sobie stworzonym do życia małżeńskiego, do krzątań około domowego ogniska, które gdzieś jednak wypadałoby założyć. On potrzebuje mieć skrzydła wolne, aby kierować lot, dokąd go fatalność powoła...

— Fatalność!... to dobre słowo. Tem wszystko wytłumaczyć można, a obecnie przemożny poryw do Anny.

— Czy się z nią ożenię, czy nie, muszę ją kochać, muszę ją dostać. To mój los!

Na tym wniosku osadził się Jerzy, powracając do założenia, z którego wyszedł. Obleciał cały swój widnokrąg i powrócił do punktu wyjścia, zatoczył koło nie błędne, lecz fatalne. Tak jest, fatalne. Pokrzepiony na sumieniu, rozmyślał już tylko o sposobach dojścia do upragnionego celu, które nie były dość skuteczne dotychczas, ani dość szybkie. Sposób przyszedł mu do głowy jednego wieczoru.

Był to dzień nudny dla wszystkich. Nikomu nic się nie udawało. Księżna Kobryńska zawiodła się w swych nadziejach otrzymania audjencji partykularnej u papieża, po której obiecywała sobie rozstrzygnięcie pewnych wątpliwości, tyczących się jej samej, Jerzego i całej rodziny. Ponieważ spodziewana pomoc dwóch świątobliwych mężów, monsignora Concomassa i Ojca Melchiora, okazała się bezskuteczną, księżna udała się pod protekcję margrabiego d'Anjorrant. Margrabia miał także zamiar przedstawienia się Ojcu Świętemu z żoną swą i jej siostrą, ze Słuszką i parą książąt francuskich, niedawno przybyłych. Ale przeprowadził

starania o audjencję bez namaszczenia, powierzył bowiem ten zachód dyrektorowi hotelowemu. Wkrótce przybyło oznajmienie, że papież przyjmie margrabiego d'Anjorrant z jego rodziną i przyjaciółmi, w liczbie ogólnej ośmiu osób. Ponieważ sześć miejsc już było zajętych, Terenia otrzymała tylko dwa: dla siebie i dla Jerzego.

Z żalem pozostawić miała w hotelu męża, na którego uświęcenie liczyła także przy tej sposobności. Chociaż więc w najlepszem towarzystwie, jednak nie osobiście, tylko poniekąd jako anneks, miała księżna Kobryńska być przyjętą przez Namiestnika św. Piotra. Przygotowywała więc żałobne szaty, wymagane przez etykietę Watykańską, z połowicznem tylko zadowoleniem.

Inni mieli także niepowodzenia. Lady Cosway popsuła całą paczkę zdjęć fotograficznych, sporządzonych przez nią samą do nowego albumu z czerwonym napisem: „Roma“ na białej pergaminowej okładce. Słuszka potłukł się wczoraj, wypadając z samochodu, którym uparł się sam kierować; miał wcale nieefektowny plaster na nosie. Schwind twierdził, że dostał malarji, zwiedzając Colosseum przy księżycu, o czem jednak powątpiewano, tłumacząc sobie inaczej skutki nocnej wycieczki Westfalczyka, zauważono bowiem nieobecność jego w klubie przez całą jedną noc.

Wogóle nie wiodło się mężczyznom w klubie della Caccia: wszyscy mniej lub więcej przegrali, najwięcej Kobryński, najmniej d'Anjorrant. I Dubieński był tego dnia zdenerwowany: wprosił się

na herbatę do pani Oleskiej, zastał tam lady Cosway i Fabiusza, ciągle Fabiusza, nie mógł cieplejszego słowa umieścić. Poszedł więc do klubu, gdzie znajdowali się, jak zazwyczaj, jego znajomi.

Około północy d'Anjorrant, Słuszka, Kobryński i Dubieński wracali piechotą z klubu do hotelu. Dzisiaj po raz pierwszy nie było partji. Kobryński był wściekły.

— Zabrali nam, co mogli, a teraz nie przychodzą! Ładna buda ten klub! Mówiliście, że tu grają panowie, a ja spotkałem samych łapigroszów. Ładna buda!

— Nie znam innych klubów, mój kochany książę — odrzekł flegmatycznie d'Anjorrant. — Do końca partji i do końca sezonu siedzą tylko ci, którzy przegrali, wygrywający dostają natychmiast migreny, albo telegramy powołują ich gdzie indziej. Pozostaje walka między zgranymi. My naprzykład moglibyśmy zagrać między sobą, gdybyśmy nie byli goli do cna. Prawda, kochany książę?

Kobryński był już wszystkim winien pieniądze, nawet d'Anjorrant'owi, który tego wcale nie lubił. Ironiczna uwaga margrabiego trafiła mu do przekonania i ostudziła oburzenie.

— Trudno mieć pieniądze, gdy się codzień przegrywa, i to w obcem mieście. W Warszawie mogę dostać z dnia na dzień paręset tysięcy: tutaj brak mi stosunków finansowych.

— Ach! banki tutejsze są bardzo uczynne i z pewnością w stosunkach z Warszawą. Jeżeli

pan ma łatwy kredyt tam, to tylko chodzi o parę depesz. Mogę panu dać adres.

— Nie, dziękuję. Nie chcę zbyt głośno i gwałtownie sprowadzać pieniędzy, aby nie nadwyrężać swego kredytu. Napisałem.

— W takim razie trzeba czekać.

D'Anjorrant wiedział już, a Kobryński był przekonany, że jego kredyt warszawski był może jeszcze trudniejszy, niż rzymski, znano bowiem zasadniczą „niepoczytalność Władzia" w sprawach pieniężnych.

— Ostatecznie — głupie miasto ten Rzym — skręcił wbok Kobryński.

Odpowiedział mu Słuszka:

— Bo nie umiesz go używać. Siedziałbyś dzień i noc w klubie. To można robić i w Tarascon, jeżeli się partja zbierze.

— Siedzimy przecie razem.

— Ja nie psuję nigdy kompanji. Ale zawsze więcej bywam w salonach, w muzeach, na powietrzu, niż ty. Ja muszę mieć rozmaitość wrażeń, muszę studjować kraj, w którym się znajduję. Byłem naprzykład w Tivoli — tam dopiero życie Cezarów stanęło mi przed oczyma, i teraz, gdyby mi powierzono urządzenie wielkiej letniej rezydencji dla króla, albo dla przyjaciela...

— Eustachy! nie napiłbyś się piwa w jakiej sromotnej knajpie z damską usługą? — przerwał mu d'Anjorrant.

— Owszem, napiję się piwa.

— Znam jedną taką dziurę, gdzie po północy kobiety usługują w szkarłatnych płaszczach, a bez wszelkich innych osłon. To ci może da jeszcze pomysł do urządzenia owej letniej rezydencji?

— Gadaj zdrów. Ja także coś wiem. I wiem także, gdzie ta knajpa.

— No, to prowadź.

— Gdzieś w okolicach pałacu Propagandy... Zaraz.

— Ja zaś wiem, że jesteśmy od niej o sto kroków.

Wskazał czerwoną latarnię w bocznej uliczce i niebawem wprowadził towarzyszów do zadymionego lokalu, w którym brzęk mandolin, śpiew ludowy i owe zapowiedziane piękności w jaskrawych płaszczach tworzyły atmosferę rozpasaną i zaduszną.. Wejście mężczyzn dobrze ubranych wywarło wrażenie i uciszyło trochę wrzawę. Ale nowo przybyli kręcili nosami, znajdując kobiety nie dość piękne, a powietrze zbyt ciężkie. Tylko Dubieński ożywił się i zaglądał pokolei w czarne oczy kobiet, jedyne naprawdę ładne szczegóły w całej wystawie. Usiedli jednak i zakomenderowali:

— *Quatro di birra!*

— Gdyśmy byli młodsi, jakoś to lepiej wyglądało — rzekł d'Anjorrant. — Mówię za siebie i za Eustachego, którego już żadna piękność nie porusza, oprócz Wenery Kapitolijskiej i damy pik z dziewiątką.

— O! mój kochany, mów tylko za siebie!

— Co innego Dubieński. Ten już się dowiedział, że ta, która nam usługuje nazywa się Bianca. Patrzcie, jakie do niego stroją miny, a on jak wstępuje w natchnienie. Pewno popełni tej nocy jaką... poezję. Piękna rzecz młodość.

— Pan zaś źle udaje wiek stateczny — odpowiedział Jerzy. — Właśnie tę najładniejszą, zapewne Rosinę, uszczypnął pan, a teraz ona pana widocznie wyróżnia.

— Sapristi! dobrze patrzy młodzieniec. Jest pan, na szczęście, poetą tylko w wolnych chwilach.

Do ogólnie znanych przymiotów margrabiego należało też wyrafinowane zepsucie, z którem wcale się nie taił. Widok tych kobiet chociaż go mało nęcił bezpośrednio, pobudzał jednak jego zmysłową wyobraźnię.

— Mówię ci, Eustachy, że w twojej letniej rezydencji moglibyśmy coś wspaniałego urządzić na wzór tej niewinnej zabawki. Żeby naprzykład w bardzo ścisłem kółku nasze wytworne znajome tak ubrać, a nas samych pozostawić, jak jesteśmy, we frakach? Co?

— Hm — mruknął Słuszka, nie decydując się, mimo swej wymowy, zagłębiać się w tak ryzykowny pomysł.

— Wyłączmy nasze żony, bo są za chude. Zresztą żony...

— Raulu! — zawołał Słuszka, zerkając na Kobryńskiego, który śmiał się swobodnie i na Jerzego, który jednak zarumienił się.

— Wyłączyłem je. O cóż ci więc chodzi? Ale naprzykład pani de Nielles, blondynka różowa w niebieskim płaszczu z gwiazdami, a kochana Fernanda, śniada i czarna — w purpurze, z lilją w ręku. Koniecznie z lilją. Albo żywy obraz na wzór Wiosny Botticellego. Na postać Primavery...

Spojrzał po towarzyszach, wszystkich już zgorszonych, bo i Kobryńskiemu nie w smak poszło lekceważenie Fernandy.

— Prawda! jesteście Słowianami, rasą sentymentalną. Nie zgodzicie się nigdy patrzeć na świat bez złudzeń, ani nazywać rzeczy po imieniu. Dubieński zaś, poetycznie zakochany, widzi pewną osobę tylko w obłokach.

— Ja? zakochany?

— Panie Dubieński! pan widzi dobrze, co się naokoło dzieje w knajpie, a ja, stary ćwik, nie miałbym widzieć, co się dzieje naokoło mnie w życiu?

Jerzy tego wieczoru wymyślił właśnie manewr, który wydał mu się potrzebnym. Domysły margrabiego utwierdziły go teraz w postanowieniu. Rzekł, spuszczając oczy, z dobrze udanem zafrasowaniem:

— Ja wracam jutro do Nizzy.

— Wyjeżdżacie we troje?

— Nie wiem. Siostra moja i Władzio?...

Zwrócił się naiwnie do Kobryńskiego i zadziwił wszystkich, nawet d'Anjorrant'a. Kobryński podejrzliwy bardziej, niż przenikliwy, wilczym wzrokiem spojrzał na szwagra.

— Masz słuszność — rzekł — tutaj niema już co robić. Tylko jeszcze ta audjencja za trzy dni...

— Ja muszę wyjechać — powtórzył Jerzy stanowczo i tajemniczo.

Nikt nie zrozumiał dobrze tej konieczności, a ponieważ zagadki nie wpływają orzeźwiająco na rozmowę i tak już znudzonych ludzi, wesołość ich, sztucznie podniecona na chwilę, zgasła. Skończyli piwo i wynieśli się z lokalu.

W urywanych słowach porozumieli się, że ostatecznie nudno w Rzymie, że wszyscy wkrótce powrócą do Francji, a nim rozpocznie się na dobre piękny maj paryski, zatrzymają się jeszcze w Nizzy, gdzie, podług gazet, pogoda jest idealna i mnóstwo jeszcze wytwornego towarzystwa.

XX.

Jerzy postanowił użyć raz jeszcze fortelu, który mu już oddał w życiu niejakie usługi: osłonić się mgłą i zniknąć Mimo, że podróż z Rzymu do Nizzy nie jest ani nadludzkim wysiłkiem, ani bohaterstwem, ani zbrodnią sama przez się, zagadkowe zniknięcie w stosownej chwili dobrze działa na wyobraźnię kobiet. „Dlaczego tak nagle? do kogo jedzie? od kogo ucieka? Czy do tamtej zatęsknił? Czy się na mnie obraził?“...

Jerzy wiedział, że wytworzenie takiej atmosfery lubego niepokoju jest korzystne, a także wiedział, że chwila jest dobra, bo gorączka poczęła ogarniać Annę; wreszcie obliczył z łatwością, że

najdalej za kilka dni pani Oleska musi powrócić do Nizzy, do dziecka. Nie chciał jednak nic stracić z postępów, które uczynił w łaskach Anny; owszem; była ona dla niego obecnie jedynym celem, tem goręcej, tem zacięciej pożądanym, im trudniejszy był do osiągnięcia. Przed wyjazdem więc zdołał umieścić kilka pożytecznych frazesów. Wyjeżdża, aby pokończyć swe obrachunki w Nizzy, obrachunki sumienia. Wzywają go gwałtownie, jechać musi natychmiast. Razem z Rzymem porzuca najpiękniejsze, najlepsze dni życia, które mogą się odnowić, jeżeli ona, Anna pozwoli. Tam, w Nizzy, będzie jej oczekiwał naprawdę jak zbawienia, jak wyzwolenia... Część prawdy, zawarta w tych wyznaniach, wystarczyła mu na dobry akcent zapału i dramatycznej boleści.

— Nie rozumiem pana — odpowiadała pani Anna — a jeżeli mam przypuścić, że jakieś obowiązki w Nizzy są najważniejszym czynnikiem w pana obecnem życiu, to znowu... nie mogę współczuć pana kłopotom...

— O! nie żądam tego, nie chcę. Za parę dni powiem wszystko, jeżeli tylko pani pozwoli... Proszę przybyć tam jak najprędzej!... Proszę mi zachować choć trochę dobrych uczuć, które zdołałem od pani wyżebrać.

Wzruszenie pożegnania i nagłość wyjazdu były powodem, że Anna nie próbowała nawet bronić rąk swych od namiętnych pocałunków, którymi Jerzy je okrywał; ściskała owszem jego dłonie i rzekła, patrząc mu prosto w oczy:

— Pamiętaj pan... jestem szczerą, dobrą przyjaciółką, trzeba mi mówić prawdę.

Jerzy targnął się rozpaczliwie, chwycił się za głowę, ucałował jeszcze jej ręce i wyjechał.

Siostrę i znajomych zaledwie pożegnał. Ulotnił się, zostawiając ich z otwartemi ustami, jak ludzi, wpatrzonych w znikające nadprzyrodzone zjawisko.

Najbardziej zadziwiona, zawiedziona, zgorszona była księżna Teresa Kobryńska. Ów brat, który był przedmiotem jej misji, całem uzasadnieniem przedłużonego już i bardzo kosztownego pobytu na Południu, ów brat odciągnięty przez nią od zgubnych „dyspozycji", prowadzony umiejętnie i mozolnie po drodze prawdy do grobu świętego Piotra, ów Jerzy, o którym posłała już do Chojnogóry kilka obiecujących raportów, nagle pryska z Rzymu, i to na trzy dni przed audjencją w Watykanie! Oczywiście powraca do pani de Sertonville, do życia bez zasad, i lekceważy wszystkie obietnice, których sam wprawdzie nie dawał, ale które Terenia za niego poczyniła, pisząc do ojca.

Do tego moralnego bankructwa przyłączyło się i pieniężne. Władzio grzązł w długi trochę już skandaliczne; zaczęto delikatnie dowiadywać się od księżny: czy nie miałaby zamiaru kontrasygnować pewnych finansowych zobowiązań księcia? Terenia poczuła groźbę zachowania swej pozycji, nietyle wobec tych ludzi obcych, których ostatecznie tak prędko znowu się nie spotka, ale wobec ojca, o którego ze wszech miar dbała.

W kilka godzin po wyjeździe Jerzego, oceniwszy powagę sytuacji, taki napisała list do Chojnogóry:

„Najdroższy mój Papo!

„Nie mam dzisiaj pomyślnych nowin dla papy, ale posyłam te, które są, które nas wszystkich obchodzą, bo nie umiem ukrywać nic przed papą, a także czuję potrzebę, aby ktoś prawdziwie mądry i dobry, prawdziwie mój, wysłuchał mnie i odczuł. I tak mi się zdaje, że choć Chojnogóra daleko, a słowa moje dopiero za jakie pięć dni dojdą do oczu i serca papy, że już mi trochę lepiej w sercu i jaśniej w głowie z chwilą, gdy usiadłam do tego listu. Niech papa jednak nie myśli, że coś się stało, właśnie nic się nie stało, i w tem cały dramat. Najprzód, raz jeszcze mam sposobność podziwiać trafność sądu kochanego papy, przypominając to, co nam mówił na wyjezdnem. Riviera jest niebezpiecznym krajem rozkoszy, w którym nie trzeba ugrzęznąć, a Rzym jest świętem i błogosławionem miastem. Tak czują i sądzą indywidua zdrowe, silne, jak papa, i ja skromnie przyłączam się do tego zdania. Ale ci mężczyźni nowi, jak Władzio, jak Jerzy, niestety!...

„Pisałam już, że mgr. Concomassa i ojciec Melchior nie mogli być nam użyteczni. Usilnie starałam się ich zastąpić. Świeckiego przewodnika w oglądaniu rzymskich arcydzieł znalazłam w osobie pana Fabiusza Oleskiego. Może go sobie papa przypomina? *Pas tout-à-fait un homme de notre*

monde, ale uczony i przyzwoity człowiek. Jerzy zdawał się bardzo zainteresowany oglądaniem i dyskusjami z p. Oleskim; poważna Roma wywierała swój wpływ kojący na tę wrażliwą naturę. Nie zapomniałam jednak o Rzymie naszym, chrześcijańskim, o wpływach wyższych i uświęcających. Za trzy dni mamy zostać przyjęci przez Ojca Świętego w audjencji partykularnej, w liczbie ośmiu osób z najlepszego towarzystwa. Nie piszę o emocjach osobistych, które przebywam, o tem, co sobie po audjencji obiecuję. Pan Bóg nas skierował do Rzymu (za pośrednictwem najdroższego papy), Pan Bóg wie także, co z tego będzie. Ale ja nie wiem, bo dzisiaj właśnie, i to jest moją boleścią i skargą, dzisiaj, najniespodziewaniej Jerzy uciekł nam do Nizzy! Czy prosty kaprys poety, czy gorsze jakieś wpływy kobiece wyrwały mi z rąk tę duszę, którą już, już sądziłam, że przyprowadzę do równowagi i do naszego gniazda? Stało się to nagle, przed paru godzinami. Jestem w rozpaczy.

„Już z Nizzy pisałam papie o jednej kobiecie groźnej dla Jerzego, hrabinie S. Obawiam się, że to poprostu jej intryga. Jest to aż nadto prawdopodobne, a jak opłakane! Przedewszystkiem dla Jerzego. Pewne dary natury są tak niebezpieczne! Ale i dla mnie jaki zawód! *Quel dépit d'échouer, après avoir dépensé tant d'ardeur et, j'ose le dire, de finesse!* Co teraz mamy czynić, kochany papo? Wracać, czy jeszcze próbować?

„Zaraz po audjencji wyjedziemy z Rzymu; w Nizzy być jeszcze musimy dla niektórych rzeczy

tam pozostawionych i dla interesów Władzia. Nie mogę też utaić, że te interesy są złe. Władzio nigdy nie przestanie być dzieckiem, ulega bardzo wpływowom otoczenia, jest trochę lekkomyślny, i gdyby nie szlachetne w gruncie serce i rasa, która jest mu pancerzem, mógłby się zsunąć po jakiej pochyłości... I o nim ciągle myśleć muszę — *j'ai une double charge d'âmes.* Trzeba mu stworzyć jakieś zajęcie. Czy nie skorzystać z owego mająteczku, który mamy w Poznańskiem, aby go wykierować na posła do parlamentu? Ale to na później troska. Teraz główna, jak mamy wybrnąć z naszej wycieczki, jak wracać? czy najśpieszniej? czy jeszcze mam dobyć sił na dalszą walkę i odzyskanie Jerzego? Czekam na stanowcze instrukcje i rozkazy kochanego papy, do których, jak zawsze, zastosuję się z posłuszeństwem, miłością i przekonaniem, że tak najlepiej. Rączki kochanego papy i t. d".

XXI.

W górach francuskiej Riviery są miejsca, stworzone dla radości serc i oczu, a z powodu wybornych szos tak łatwo dostępne, jak wszystkie tutaj rozkosze. Po drodze z Nizzy do Grasse leży parów rzeki Loup, tryskającej tam ze skały, jak ongi zaklęty strumień pod uderzeniem laski Mojżesza. Wodospad leje się bogatą strugą z góry, wpada potokiem w kamieniste łoże pod ogromne arkady mostu kolejowego i płynie dalej już uspokojoną

rzeką przez świeże łąki między dwiema ścianami gór o grzbietach szczerbatych, o zielonych stokach gobelinowych, przetkanych szaremi i rudemi wioskami.

Bliska owego mostu kolejowego restauracja jest słynnym celem przejażdżki do „Gorges du Loup“.

Do tego celu po gładkiej taśmie szosy sunęły w oddaleniu pół kilometra jedno od drugiego dwa rozpędzone pudła. W pierwszym siedziały dwie straszne postacie, ubrane w wilcze kudły i w okulary z czarnych łbów wytrzeszczone. Gdyby je pierwszy raz spotkał, chłop-by się przeżegnał, a człowiek cywilizowany takżeby się wzdrygnął. Ale kto choć raz przejeżdżał między Monte Carlo a Nizzą, musi pogodzić się z tą estetyką, jest to bowiem najwłaściwszy ubiór dla „palacza“, dla właściciela samochodu, dla tej nowej arystokracji, rozbijającej się po starych drogach. Groźny sygnał alarmowy fałszywą trąbą, smuga benzynowego swędu, tuman kurzu, — z drogi pospólstwo piesze, konne i kołowe! — jedzie książę jakoweś automobilizmu.

Najlepszy znajomy nie poznałby Słuszki i de Nielles'a pod postaciami wilkołaków, które pierwsze dojechały do restauracji. Z pewną lubością zrzucili z siebie wilczury i odkryli głowy. Słuszka spojrzał na kelnera, stojącego we drzwiach restauracji:

— Czy wszystko gotowe?

— Dla kogo, jeżeli wolno zapytać?

— Mój przyjacielu! jeżeli mnie nie znacie, lituję się nad wami.

— Zapewne z klubu Nicejskiego?... Gotowe, panie hrabio.

— Nareszcie!

Jako wnioskodawca i naczelnik wyprawy, Słuszka zwrócił teraz oczy na drugi, większy samochód, który dojeżdżał. Rzekł do towarzysza:

— Dobry tamten palacz. Zdążył za naszym „wyścigowym“.

— Nie rozwinąłem całej szybkości — pośpieszył odpowiedzieć de Nielles, kierownik pierwszego samochodu i zapamiętały zwolennik nowego sportu.

Zawarczało, zajechało i buchnęło swędem. Z pod osłon płaszczów i welonów wydobyły się cztery osoby: lady Cosway, pani de Nielles, pani Oleska i Jerzy Dubieński. Damy ukazały się w krótkich sukniach krawieckich, nadających im pozór chłopięcy i ponętny, a mężczyźni w strojach turystów, które przywdzieli w przewidywaniu jakiejś pieszej wędrówki po górach. Szczególnie Słuszka odznaczał się kurtką o wielu kieszeniach i aparatem fotograficznym nakształt ładownicy; obok należnego mu zawsze uznania, o którem szeroko mówił, zdawał się wymagać dzisiaj dodatkowego podziwu dla swego londyńskiego krawca.

Ale przekorna pani de Nielles, zrzuciwszy płaszcz, na którym osiadł kurz biały, jak mąka, próbowała zachwiać powagę Słuszki, rzucając mu na ręce ów płaszcz zapylony:

— Ładna przyjemność, jakbyśmy wyszli z młyna!... Masz to sobie!

Słuszka złapał płaszcz, rozkrzyżował ręce i zawołał:

— Ależ piękności przyrody, powietrze, pęd, szał... czy to za nic? Doprawdy, nikt pani nie zadowoli.

— Mam kurz we włosach, w zębach, w oczach, w duszy!

— Proszę się wznieść ponad te drobiazgi, jesteśmy na wyżynach.

— Powinien był pan poetyczniej nas przenieść tutaj. Stanowczo brak panu skrzydeł, panie Słuszka.

— Niech pani rozwinie swoje, a podążę za nią; z pewnością nie dam się prześcignąć.

— Wykręty!

— Bo masz złą woalkę — tłumaczyła lady Cosway pani de Nielles, okazując swoją, architechniczną osłonę głowy, opatrzoną przezroczystym wizjerem z celuloidu.

— W tem się wygląda jak nurek podwodny.

— Ale zato nie ma się piasku w duszy. To jest kapelusz normalny naszego automobil-club'u.

Amerykanka zżyła się już z automobilami, jak z końmi, podczas gdy pani de Nielles była świeższą adeptką, a pani Oleska pierwszy raz w życiu próbowała tej jazdy.

Pani Anna wróciła już z Rzymu do Nizzy, podczas gdy Fabiusz zboczył do Sieny. Stało się to naturalnie. Wycieczka do Sieny zapisana była oddawna w programie wakacji Fabiusza, których w tym roku użył inaczej, niż zwykle, z powodu

przyjazdu pani Anny na Rivierę. Zwykle szukał pięknych i ciekawych zabytków historycznych, w tym zaś roku pozostał długo w Antibes, około Nizzy, pod pozorem pisania książki, która mało postąpiła. W Rzymie był przewodnikiem, nie takim jednak, jak zamierzał: nie dla Anny tylko, lecz dla całego grona osób roztargnionych, obcych. Gdy zaś spostrzegł, że Anna bez zapału wspomina o Sienie, pojechał sam do pięknego umarłego miasta, zostawiając Annę w towarzystwie, z którem razem powróciła do Nizzy. Nawet słowo przyzwoitości zostało wymówione: przyzwoiciej było dla pani Oleskiej trzymać się ze znajomemi kobietami i powrócić wcześniej do dziecka, do Nizzy. Z tych powodów pani Anna pozostawała już od kilku dni bez kontroli ex-szwagra i przyjaciela.

Dzisiejsza wycieczka, nie zbrodnicza wcale, była jednak dla Anny czemś nowem i trochę grzesznem. Pierwszy raz podążyła stanowczo i bezwzględnie za przykładem rozbawionego towarzystwa i za namową Jerzego. Pierwszy też raz nie żałowała, że nie ma przy sobie Fabiusza. Ten wspólny pęd przez kraj pachnący i malowany na pokusę zmysłów, ta słodka komitywa z człowiekiem, którego już odłączyć nie mogła od swych młodych pragnień, godziny fizycznego szczęścia z nim, bez słów prawie, złożone tylko z kilku porozumień oczyma i ze świadomości, że obojgu jest dobrze i tak samo dobrze...

Rozmowa rozpoczęła się właściwie dopiero przy śniadaniu w restauracji Gorges du Loup. Odezwał się Jerzy do pani Anny:

— Przyznaję się do pospolitego gustu: lepiej mi w Nizzy, niż w Rzymie. Gdyby cały maj był taki, jak ten pierwszy dzień dzisiejszy, zostałbym tu jeszcze... A pani?

— Ja?... nie wiem doprawdy. Póki tu dobrze, zostaję. Nie mam tak bardzo do kogo ani do czego wracać...

— Właśnie miałem to pani doradzić — rzekł Słuszka. — Zostaniemy tu jeszcze dwa tygodnie, a potem zabieramy panią do Paryża. Ja także sądzę, że tak na dystans, na stałe, powietrze francuskie jest dla nas zdrowsze, że lepiej tutaj prosperujemy. Nie powiem, żebym nie lubił Włoch, Rzym wywiera na mnie wpływ poważny...

Przerwała mu pani de Nielles:

— Dlatego po powrocie czuje pan potrzebę być tem bardziej lekkomyślnym. Niech pan na chwilę przestanie pozować i przyzna się, żeście się wszyscy potężnie znudzili w świętym grodzie.

— Ja?! Doprawdy ma pani o mnie mizerne wyobrażenie, ale nie zniechęcam się: doprowadzę panią kiedyś do uznania mnie i prawdy, co właściwie jest tem samem. Padnie pani kiedyś wzruszona na łono prawdy.

— Więc i na pańskie? Wątpię. A co się tyczy waszych wrażeń rzymskich, mam takie relacje: d'Anjorrant powiedział mi, że była to wycieczka „katedralnie piłująca". Kobryński wyczerpał już wszystkie przekleństwa, jakich mu dostarczył nasz piękny język, aby wymyślać na Rzym, na Włochów, na jakichś „łapigroszów..." Co się stało szwagrowi,

panie Dubieński? Gdy tu przyjechał, pełen był fantazji i najlepszych chęci towarzyskich; teraz znacznie spochmurniał, a nawet zauważyłam, że wąsy jego, podbójczo najeżone, opadły?...

— Zgrał się — odpowiedział Jerzy.

— Nie tak znów bardzo — rzekł Słuszka. — Ma duży majątek, może to wytrzymać. Jest trochę zdenerwowany, nic więcej.

Słuszka wiedział, że majątek osobisty Władzia był nieznaczny, że Władzio głęboko zabrnął, i że nadto winien jemu, także zgranemu, znaczną sumę. Ale nie lubił o niewyraźnych rodakach mówić zbyt obszernie przed cudzoziemcami, choćby nawet przyjaznymi.

— Partja trwa jeszcze tutaj? — spytała pani de Nielles, nie dość dobrze pod tym względem powiadomiona, gdyż mąż jej, zawołany sportsmen, nie grywał w karty.

— Jak za najlepszych czasów. Przyjechało trzech spóźnionych Hiszpanów czy Portugalczyków i co wieczór jest po pięćdziesiąt tysięcy w banku.

— To dobrze; póki grają w klubie, póty Nizza jest naprawdę Nizzą. Od waszych tam wzruszeń pulsuje życie przez całe miasto.

Skoro rozmowa stoczyła się na grę i na komentarze o znajomych, trwała bez przerwy, swobodna, lekka i ciekawa, różniąc się odcieniami zaledwie od najniższych porozumień między najniższymi tworami rodzaju ludzkiego: od szwargotu wekslarzy i od „Kaffeklatsch'u" Niemek. Wymieniono kilkanaście grubych cyfr, dodano je, a wynik,

jeszcze grubszy, wywarł poważne wrażenie na rozprawiających. Przenicowano również godność osobistą kilku mężczyzn i cnotę kilku kobiet, przyczem plon dowcipu był tem obfitszy, im tańszy.

Słuszka, kierujący wyprawą, nie pozwolił na zbytnie przedłużenie śniadania. Wkrótce ozwały się pod oknami restauracji przeraźliwe sygnały obu samochodów.

— Godzina druga. Za trzy kwadranse będziemy w Grasse; za godzinę dyrektor fabryki perfum w Grasse, mój przyjaciel, zawiadomiony przeze mnie, odsłoni przed nami tajemnice fabrykacji pachnideł. Koncert zapachów będzie muzyką przyszłości. Mówią to niektórzy, ja zaś jeszcze się pod tym względem nie wypowiedziałem, ale twierdzę i powtarzam, że...

Zmiarkowawszy, że mało kto go słucha, a panie zabierają się do dalszej podróży, Słuszka powiódł oczyma po zgromadzeniu i urwał przemowę:

— No, co tam... siadajmy.

Wkrótce towarzystwo wpadło pędem w platanowe aleje i zatrzymało się około fontanny na wielkim tarasie we środku nowego miasta Grasse, które stylem domów, przepychem ogrodów, zatarło swój charakter górskiej malowniczej mieściny, a jest już siedliskiem urządzonem przez zręcznych przedsiębiorców dla przyjemnej wygody ludzi bogatych, jak wogóle wszystkie większe miasta tej okolicy.

Po kąpieli w wonnym wietrze, w niezrównanej piękności przyrody pierwotnej, podróżni uczuli jed-

nak przyjemność powrotu do tak zwanej „cywilizacji“.

— Tuby nawet można mieszkać — rzekła pani de Nielles.

— Zupełnie „confortable“ — dodała lady Cosway.

— A co?! — cieszył się Słuszka, jakby sam stworzył to Grasse, do którego zaprowadził przyjaciół.

Zwiedzenie fabryki odbyło się jak zwykle w tych warunkach: mało kto co zrozumiał, każdy zaś zanotował kilka nazw i ostatecznych wyników, o których dowiedzieć się można w pierwszym lepszym składzie towaru przerobionego. Ale panie były zadowolone z pouczającej natury tej wycieczki, mężczyźni kiwali poważnie głowami, Słuszka był wesół i dumny.

Przy zwiedzaniu towarzystwo rozpadło się też na trzy pary wyraźne, na trzy sympatyczne przymierza: Lady Cosway z hrabią de Nielles przedstawiała związek sportowy; Słuszka i pani de Nielles utworzyli zgodną sprzeczkę retoryczną, Dubieński zaś z panią Oleską zacieśniali węzły trwalszego i donioślejszego przymierza. Udało się nawet Jerzemu tak urządzić powrót, że sam pozostał z panią Anną w mniejszym samochodzie, prowadzonym przez zawodowego palacza.

Teraz, przy zniżeniu słońca i upału, podróż przybrała charakter romantyczny. Szeroka wstęga szosy owija skały tak wolnym i równym spadkiem, że nie ciągnie prawie na dół, tylko koła wydają

się same rwać naprzód, jak wypoczęte rumaki. Potężne motory rzuciły powozy w ruch szybki i łatwy, poczem ucichły, gotowe tylko, jak siły uśpione i czujne, na zawołanie do pomocy. Pęd stał się zawrotowo szybkim, spadającym, ale opanowanym.

Pani Anna skuliła się trochę i przycisnęła do siebie łokcie. Od czasu do czasu przechylała się wbok nazewnątrz samochodu, mierząc rozwartemi oczyma drogę, którą jej nieco zasłaniał siedzący przed nią palacz, nieruchomy kudłatym torsem, dłońmi i nogami oparty na kierownikach i hamulcach, grający lekko i wprawnie na swem groźnem, doskonałem narzędziu. Od spokoju, od umiejętności tego woźnicy zależało jednak życie...

— To dobry palacz? prawda?

— Najlepszy w Nizzy — odpowiedział Jerzy.

Z rosnącem zaufaniem oddawała się Anna temu upojeniu pędu. Gdy czasem biały wąż drogi wyprostował się na kilometr przed samochodem, zdawało się, że potrwa choć parę minut w tym kierunku. Ale zaledwie chwila mocniejszego wiatru przy twarzy, zaledwie trochę szczypania w nozdrzach, i prosta szosa już znika odmierzona sprężystą gumą wartkich kół, a biały wąż ucieka w przeguby między sadami, zatacza wielkie łuki około siedzib ludzkich, przez łąki, skały, mosty, znów sady. Na prawo przepaścisty jar rzeki, na lewo bliskie góry rdzawe i dalekie błękitne.

— To zupełnie lot!

— A jaka potęga! i na usługi nasze, wyłącznie dla nas!

W takim pędzie mało się mówi, ale jest rozkoszne wspólnictwo wrażeń. Tylko przy najsilniejszych zamienia się krótkie uwagi, najczęściej wykrzykniki.

— A to co? Tego nie zauważyłam jadąc?!

Za wioską Tourette, w okolicy dzikszej i bez ogrodów, leżą przy drodze czarne, gładkie, regularnie pomarszczone skały, niby skamieniałe bochenki czarnego chleba. Jerzy zaledwie coś odpowiedział o formacji aluwialnej, ale znowu kraj się zmienił w osiadły, rozkwitły i zaczarowany woniami, przeważnie zapachem fijołków.

Były to uprawne pola kwiatów, których setki snopów żęto codzień stąd na ubranie wystawnych stołów tam nad morzem, gdzie rzucają złotem. Tylko tutaj kwiaty miały żywy zapach niepokalany, zaprawny wonią ziemi i zmieszany z łechcącymi wyziewami jarzyn.

Znowu platany, wille, ogrody.

Pędem wpadli do mieściny Vence. Na środkowym placyku mieszkańcy włoskiego typu bawią się rzucaniem kul drewnianych pod zwisającą kaskadą żółtych kwiatów mimozy. Przystanęli, aby nabrać w oczy tego obrazu na pamiątkę.

I jazda niepohamowana przez strefę fijołków.

Kraj się roztacza i zmienia w pędzie. Na prawo nagie góry, znowu przepaść zielona, za nią na wzniesieniu śliczna kamienna wioska. Dalej droga się zacieśnia, wpada w gąszcze sosnowe i oliwne, w kwitnące sady.

— Już Cagnes! jak szybko!

Stare Cagnes śniło na szczycie góry pod kilku kitami palm, pod niebem rozjaśnionem, wieczornem.

I morze, które już przebłysnęło parę razy, pokazało się teraz bliżej za drobnymi porostami domów i ogrodów, oblanych pochyłem słońcem. Przez wyziewy cedrów i pomarańcz szedł już wieczorny powiew, nie szemrząc po liściach wyrazów zakochanych, jak w uczciwszych krajach północnych, lecz siejąc pokusą niemą, przemożną, nieuchronną.

Skoro dostali się na płaską szosę nadmorską, pełną ludzi, wozów i zgrzytu elektrycznych tramwajów, zmuszeni byli znacznie zwolnić szybkość jazdy. Dekoracja spowszedniała, upojenie znikło. A zarazem zbudziła się w obojgu potrzeba jakiegoś wniosku z tej pierwszej przejażdżki we dwoje, potrzeba i zakłopotanie.

Pani Anna nerwowo zwracała twarz ku morzu, Jerzemu zaś nie dopisywała poezja. Odezwał się wreszcie:

— ...Znowu obiad, fraki, pospolitość... I ci ludzie, którzy nam zamącą tak piękne wspomnienia!

— Niema na to rady — odpowiedziała Anna.

— Jest rada. Zjedzmy obiad we dwoje.

— To niepodobieństwo. Gdyby był Fabiusz...

— Czy pani nie może nigdy obejść się bez niego?

— Jak widzi pan, obchodzę się.

— Ale z wielką biedą?

— Nie... tylko z wyrzutami sumienia.

— Więc ja w niczem, nigdy nie mógłbym pana Oleskiego przy pani zastąpić?

— A czem pan jest dla mnie? Proszę mi raz to powiedzieć.

Na tak wyraźne wyzwanie Jerzy, zamiast dać folgę tłumionym zapałom, zakłopotał się. Rzeczywiście, ta kobieta jest zbyt kategoryczna...

— Od pani zależy dać mi nazwę. Mogę być wszystkiem, czem pani być mi rozkaże. Sługą przecie jestem najwierniejszym.

— Sługą?... to się mówi. Zresztą ja nie szukam panowania... Ale najwierniejszym? tego już wcale nie rozumiem.

Jerzy pomyślał: „Dobry zwrot rozmowy!“ — i odrazu odzyskał potrzebny zapał.

— Tak jest: najwierniejszym. Żadnej myśli, żadnego zajęcia, żadnej ambicji nie kładę narówni z pragnieniem oglądania pani, służenia jej i zasłużenia na jakiekolwiek względy.

A ten nagły powrót z Rzymu? Miał mi go pan wytłumaczyć...

— Jeżeli wolno wobec uczuć świętych wspominać o uczuciach zdrożnych i żałosnych, powiem, żem zerwał wszystkie więzy, które mogły mię oddalać od pani. Cokolwiek stało na przeszkodzie, zdruzgotałem; com cenił w zaślepieniu, zanim poznałem panią, poświęciłem.

Ręką wykonał wielki zamach, jakby mieczem zgładzał coś lub kogoś ze świata. Pani Anna spoj-

rzała mu w oczy i powtórzyła gest jego w mniejszych rozmiarach:

— Jednem słowem, zupełnie?

— Jakichże pani chce przysiąg?!

— Wierzę. A zatem jest pan wolny?

Ten zwrot znowu mniej się spodobał Jerzemu. Obliczył, że do mieszkania pani Oleskiej już niedaleko; ten czas postanowił zapełnić monologiem.

— Wolny... o ile człowiek, podległy, jak ja, namiętnościom, może być wolny. Wolny, o ile znowu nie zależę świadomie od cudzej woli, która jest dla mnie prawem, a zarazem zagadką. Nie będę udawał, że nie cenię swojej wolności; owszem, szukałem jej w życiu, starałem się wyzwolić od przemocy tradycyj, od tak zwanych przyrodzonych obowiązków, od szablonów, przygniatających rozwój osobistości. Przyznam się pani jeszcze do jednego: mam intuicję losu, który mnie czeka; odczuwam czasem powiew mego przeznaczenia. A wtedy przestaję mieć wolną wolę, idę za skinieniem bóstwa czy Fatum i dla posłuszeństwa temu skinieniu gotów jestem poświęcić wszystko, wszystko...

Pozostawał jeszcze spory kawał drogi do drzwi pani Oleskiej, ale Jerzy nie potrzebował mówić dalej, gdyż Anna posmutniała, skłoniła głowę i zamyśliła się widocznie o czem innem.

Dzień zakończyli w tej pospolitości, przed którą wzdrygał się Jerzy: na obiedzie w licznem towarzystwie znajomych. Ale Jerzy już się nie skarżył; ten obiad leżał widocznie także w pasmie jego przeznaczeń, a zarazem dawał mu czas do na-

mysłu. Skoro pozostał sam, zważył swe położenie i doszedł do wniosku, że chwila jest stanowcza. Trzyma już Annę pod władzą swych magnetycznych nakazów: ona już myśli o nim i tylko o nim, zwłaszcza gdy myśli o fizycznem szczęściu. Pora jest oświadczyć się i być przyjętym. Ale właśnie co do tego szczegółu, co do przejścia przez kościół i kancelarję, Dubieński nie był jeszcze powiadomiony przez swe głosy wewnętrzne, których słuchał. Powiew przeznaczenia był pod tym względem niemy.

— Jednak ślub zdaje się jedyną drogą... Małżeństwo w moim wieku, na progu szerszego życia, jest ofiarą wielu innych aspiracji. Jest także początkiem i źródłem wszelkich kłopotów. Pozycja moja towarzyska nie polepszy się przez małżeństwo z wdową, mającą już dziecko, noszącą nazwisko nieznane w Europie.

Dubieńscy zaś byli już w Europie znani: pradziad kasztelan wychowywał się w Wiedniu, w Theresianum, razem z księciem Józefem Poniatowskim... A ojciec??... A stosunki majątkowe??...

Jak natrętne muchy powracały te konsyderacje do rozpalonego czoła poety, chociaż bynajmniej nie opuszczał swego powołania. A powołanym do posiadania Anny czuł się wyraźnie. Tymczasem zaś, nieustraszony nawet przypuszczalną kapitulacją, mówił do swego geniusza, jak jeden z marszałków Napoleońskich:

— Co możliwe, wykonane; niepodobieństwo mnie nęci.

I czuł się rycerzem.

Na dzisiaj zaś, aby jeszcze rozgrzać temperaturę dnia, której zauważył wieczorem obniżenie, zapragnął posłać Annie list albo wiersz. Wiersz przyszedł mu łatwiej. Ze świeżych wrażeń wycieczki wyłowił same zapachy, rozpędy, źdźbła szaleństwa; starannie ominął dramatyczne wahania jej lub swoje.

Wiersz ułożył się w nocy, a rano był już w ręku pani Anny.

Pędzim tak drogami
Śród kwitnących drzew,
Wiosna pędzi z nami,
Pędzi woń i śpiew.

Pachną cedrów gaje,
Śpiewa morska toń,
Już ja nie poznaję,
Co jest śpiew, co woń.

Piosnki dziś nie złożę,
W ten pachnący czas,
Bo znów pachnie morze,
A zaśpiewał las.

Pachną twoje słowa,
Śpiewa luby głos,
Wstaje nuta nowa
Z nadwieczornych ros...

Wszystko jedno, Boże!
Czy to woń, czy śpiew...
Pachnie głośno morze,
Śpiewa zapach drzew.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

